SOBOTA
Nr 54 5 V 1984 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NIEDŹWIEDŹ JAKI JEST – NIE KAŻDY WIE

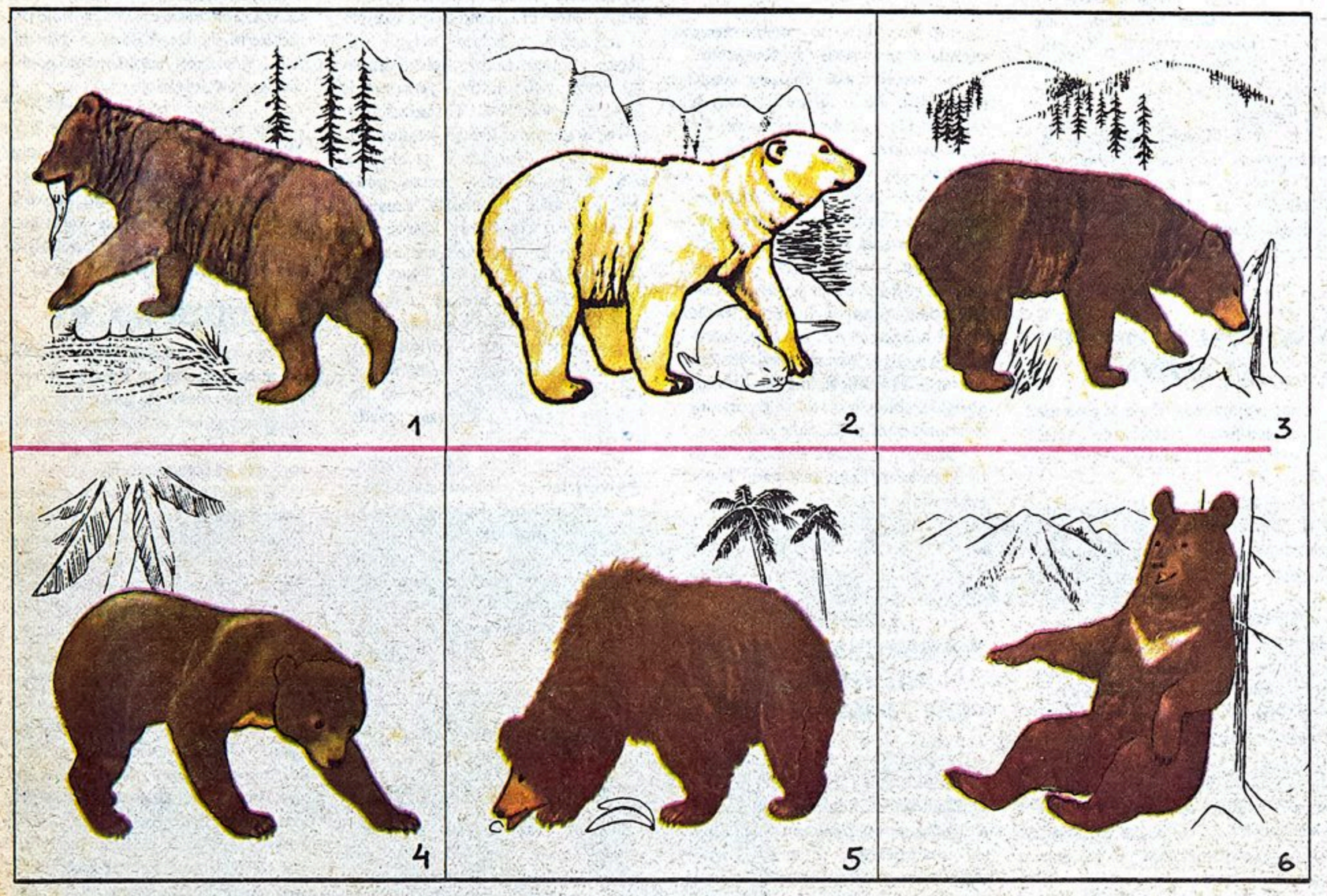

...I nie każdy wie, że ta rodzina z rzędu drapieżnych liczy 8 gatunków. Na ilustracji przedstawiamy sześć: 1. niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*) – występuje w Europie, m. in. w polskich Tatrach; 2. niedźwiedź biały, polarny (*Thalarctos maritimus*) z okolic Bieguna Północnego; 3. niedźwiedź baribal, czarny (*Ursus americanus*), niewielki i łagodny, żyjący w lasach Ameryki Północnej, gdzie ma wielkiego i groźnego krewniaka, niedźwiedzia szarego, grizzli (*Ursus horribilis*); 4. niedźwiedź malajski (*Helarctos malayanus*), najmniejszy z niedźwiedzi, czarny z żółtą plamą na piersi, żywi się owadami i roślinami, żyje w Indochinach, na Sumatrze i Borneo; 5. wargacz (*Melursus ursinus*) zamieszkuje w Indiach i na Cejlonie; 6. niedźwiedź obrożny, tybetański (*Selenarctos tibetanus*) występuje w lasach Azji od Hindukuszu po Japonię, charakteryzuje się białą lub kremową plamą w kształcie V na piersi.

O OBYCZAJACH NIEDŹWIEDZIA BRUNATNEGO CZYTAJCIE NA STRONIE TRZECIEJ.

Jaka Polska?

Pytają czytelnicy „Świata Młodych" odpowiada rzecznik prasowy rządu

– Jak pan ocenia rozwiązanie konfliktu o krucyfiksy w Mętnem?
– Jakie będą losy działaczy KOR, KPN, b. „Solidarności", którzy są aresztowani?
– Czy dużo osób nie uzyskało zezwolenia na wyjazd do krajów kapitalistycznych?

To niektóre pytania z ostatniej, kwietniowej konferencji w Biurze Prasowym Rządu. Odpowiedzi na nie przyniosły radio, telewizja i prasa.

Jakie pytanie, dotyczące interesujących Cię polskich spraw, zadałbyś Ty ministrowi Jerzemu Urbanowi, który jeszcze w tym miesiącu zaprosi na konferencję prasową przedstawicieli czytelników naszej gazety, gdzie później znajdą się odpowiedzi na zadane przez nich pytania.

Zastanów się, zadaj pytanie, uzasadnij, dlaczego właśnie ta sprawa Cię interesuje, dodaj kilka zdań informacji o sobie. Może weźmiesz udział w konferencji osobiście.

Czekamy na listy. Sprawa pilna. Na kopercie zaznacz: konferencja prasowa.

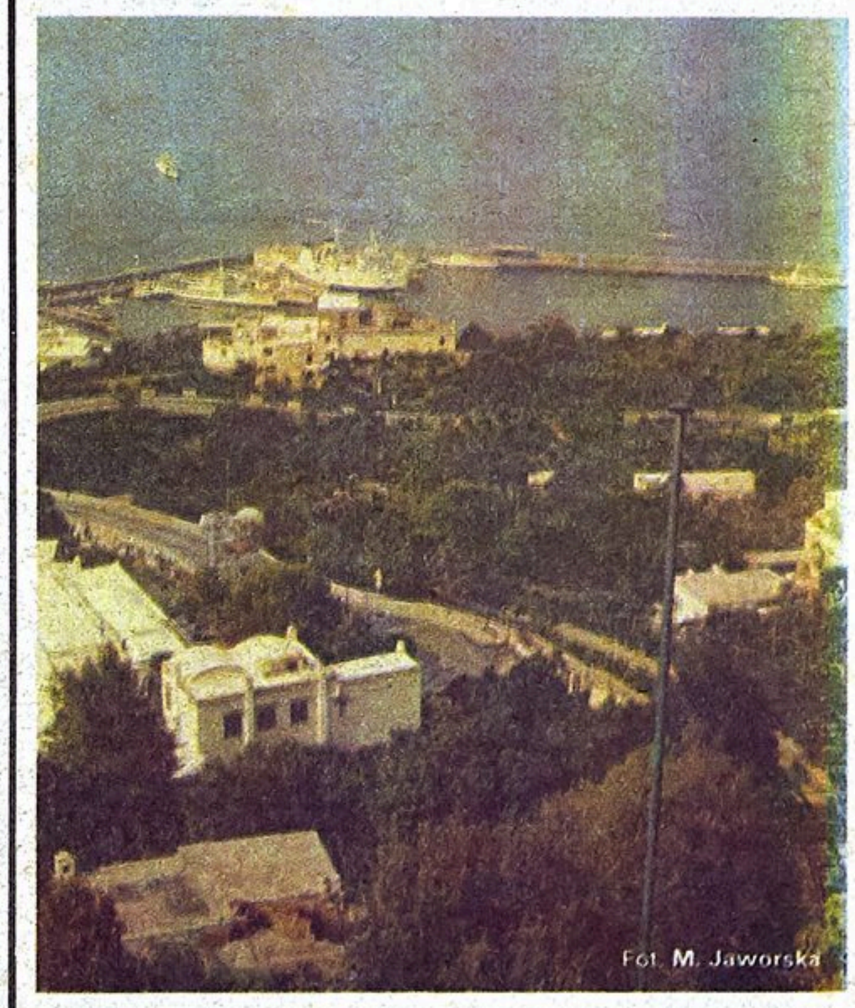

Wśród soczystej zieleni śródziemnomorskiej rozlokowały się wytworne pensjonaty i hotele

NA WYSPIE CAPRI str. 4–5

CO NOWEGO NA DRODZE?

tak czy siak powie znak

ZNAKI DROGOWE POZIOME c.d.

N-9 Przejście dla pieszych
N-10 Przejazd dla rowerzystów
N-11 Linia bezwzględnego zatrzymania
N-12a Linia warunkowego zatrzymania złożona z trójkątów
N-12b Linia warunkowego zatrzymania złożona z prostokątów
N-13 Trójkąt podporządkowania
N-14 Napis „stop"
N-15 Linia wyznaczająca miejsce przystanku pojazdów komunikacji publicznej
N-16 Linie wyznaczające miejsce postoju
N-17 Linia wyznaczająca pas postojowy przy krawędzi jezdni
N-18 Linia wyznaczająca miejsce postojowe zastrzeżone – „koperta"
N-19 Linie wyznaczające miejsca wyłączone z ruchu pojazdów
N-20 Napis „BUS" oznaczający pas ruchu tylko dla autobusów
N-21 Symbol roweru oznaczający drogę lub pas jezdni tylko dla rowerzystów.

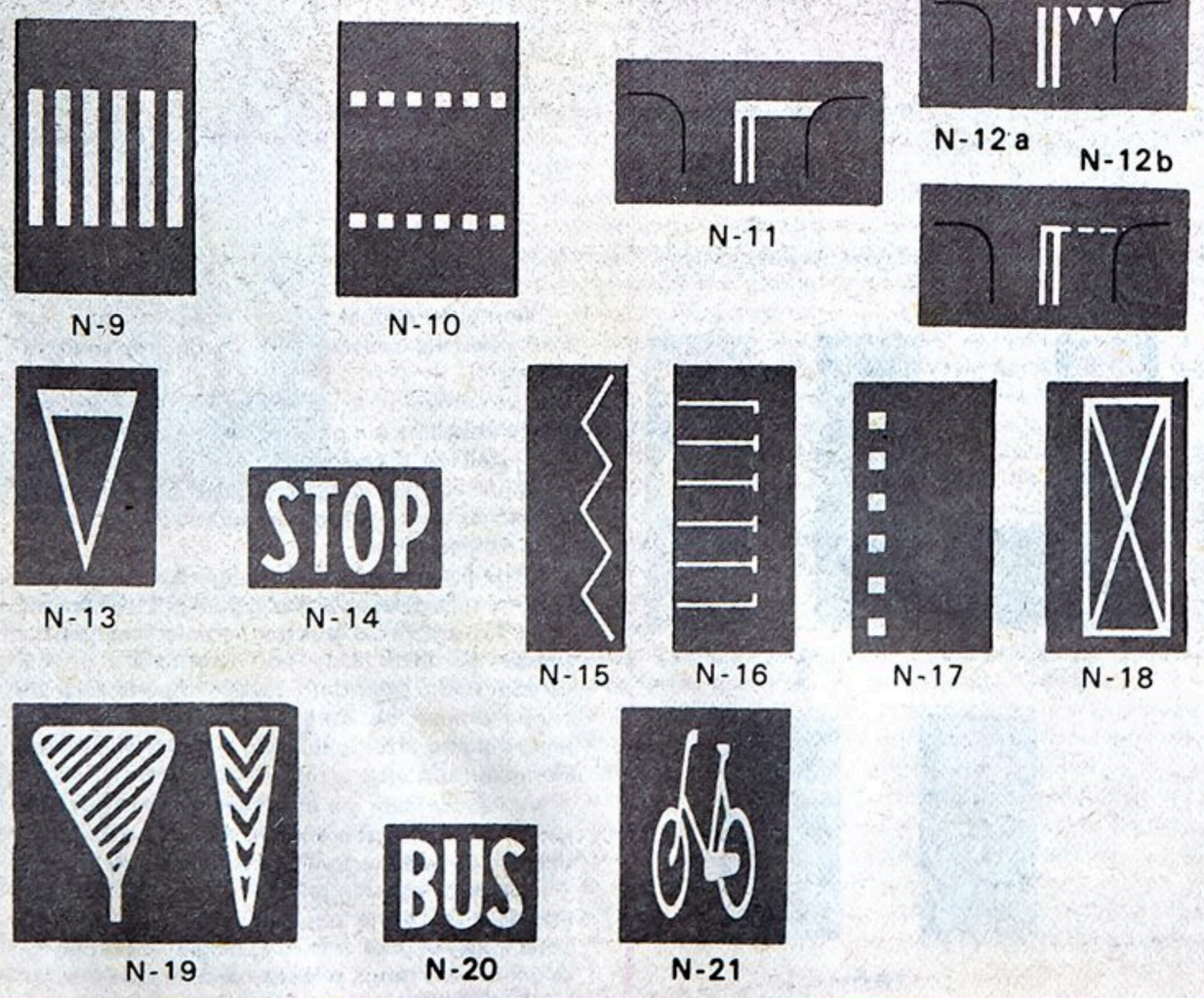

Znakami drogowymi poziomymi są umieszczone na nawierzchni drogi linie ciągłe lub przerywane, pojedyncze lub podwójne, strzałki, napisy, symbole oraz linie związane z oznaczeniem określonych miejsc.

Pasy ruchu wyznaczone są liniami ciągłymi lub przerywanymi równolegle albo nieznacznie skośnymi do osi jezdni. Jeżeli długość linii przekracza 20 m, należy ją uważać za linię ciągłą.

Przejeżdżanie na sąsiedni pas ruchu jest dozwolone, gdy pasy dzieli linia przerywana, a jeżeli jest wyznaczona linia podwójna ciągła z przerywaną (rysunek N-2) to tylko od strony linii przerywanej. Linia ciągła pojedyncza lub podwójna oznacza zakaz przejeżdżania na sąsiedni pas ruchu, przy czym linia podwójna rozdziela pasy ruchu o kierunkach przeciwnych. Linia przerywana podwójna między skrzyżowaniami po obu stronach pasa ruchu (rysunek N-4) oznacza pas o zmiennym kierunku ruchu otwieranym i zamykanym sygnałami świetlnymi. Linia przerywana, w której przerwy są krótsze od kresek (rysunek N-5) oznacza linię ostrzegawczą uprzedzającą o zbliżeniu się do linii ciągłej lub miejsca niebezpiecznego. Krawędź jezdni może być oznaczona linią ciągłą lub przerywaną (rysunek N-6), przejeżdżanie przez tę linię jest dozwolone w tych miejscach, w których jest ona przerywana.

Strzałki naprowadzające (rysunek N-8) oznaczają, że pas ruchu, na którym są umieszczone kończy się lub na dalszym odcinku jest przeznaczony dla autobusów itp.

REDAKCYJNA POCZTA

Bolesny koniec przyjaźni

Renatę poznałam w wakacje. Kiedy okazało się, że będziemy chodziły do jednej szkoły i do tej samej klasy, zaprzyjaźniłyśmy się. Przez pierwszy okres byłyśmy nieodłącznymi przyjaciółkami. Miałyśmy swoją paczkę i razem spędzałyśmy dużo czasu. Teraz wszystko się skończyło. Pech chyba sprawił, że Renata złapała na półrocze dwójkę z rosyjskiego. Na drugi dzień po wywiadówce poszłam do niej, ale drzwi otworzyła mi tylko na chwilę, po czym bez słowa je zamknęła. Zaskoczona takim zachowaniem odeszłam. Na schodach spotkałam jej mamę. Nie odpowiedziała na moje dzień dobry. Co tu jest grane? – zastanawiałam się zaniepokojona takim potraktowaniem.

O powodach dowiedziałam się nazajutrz. Były one dla mnie niezrozumiałe i bolesne. Okazało się bowiem, że Renata bojąc się o własną skórę, całą winę za dwójkę zrzuciła na mnie. Ja dwójek nie mam. Jej mamie jednak wystarczyło takie wytłumaczenie. Tak bardzo w to uwierzyła, że gdy pewnego dnia się spotkałyśmy, nakrzyczała na mnie strasznie, używając przy tym dosadnych słów. Moich wyjaśnień nie chciała wysłuchać.

Przykro mi, że tak się stało, ale nie czuję się winna. Nie rozumiem dlaczego Renata tak postąpiła. Byłyśmy przecież przyjaciółkami. Chciałam to z nią wyjaśnić, lecz ona unika mnie i nie chce ze mną rozmawiać, bo mama zabroniła jej przyjaźnić się ze mną. Poradźcie, co mam robić?

Patrycja

Czy słusznie nas potępiono?

W pierwszy dzień wiosny, przez niektórych uczniów uznawany za dzień wagarowicza, nasza klasa uciekła z ostatnich lekcji. Razem z kilkoma koleżankami i kolegami nie poszłam z nimi. Baliśmy się konsekwencji, pan dyrektor był bowiem w tym dniu bardzo zdenerwowany, bo prawie połowa szkoły uciekła na te tradycyjne wagary. Jesteśmy uczniami VIII klasy i zależy nam na dobrych ocenach. Nie chcieliśmy ryzykować. Ale nas również spotkała kara. Ukarali nas nasi koledzy. Na drugi dzień nikt z wagarowiczów nie chciał z nami rozmawiać. Zaczęto nam dokuczać i przezywać lizusami. Nie uważamy się za takich i nie czujemy się winni zaistniałej w klasie niezgody. Nie chcielibyśmy tak spędzać ostatnich miesięcy w szkole i w gniewie rozstawać się z koleżankami i kolegami, z którymi przeżyliśmy wspólnie tyle lat. Ale jak zmienić tę sytuację? Prosimy czytelników o pomoc i o wypowiedzenie się na ten temat. Może wtedy klasa zrozumie, że niesłusznie nas potępiła. Oni chcieli ryzykować, my nie i chyba wolno nam było tak postąpić.

„Zakłopotani"

Skazana na samotność...?

Nie wyróżniam się niczym w gronie swoich rówieśników, ale to chyba nie jest to konieczny warunek nawiązania przyjaźni. Mnie ona niestety omija. Nie małam nigdy nikogo bliskiego, chociaż wydawało mi się, że byłam osobą lubianą. Czyżbym zatem skazana była przez los na samotność? Nie jest mi z nią dobrze, ale nie potrafię też się jej pozbyć. Nie dość tego. Ostatnio wydaje mi się, że – jakby na przekór sobie – zaczęłam zachowywać się tak by jeszcze bardziej się w niej pogrążyć. Zamknęłam się w sobie, stałam się nieufna i nieczuła na sprawy otoczenia. Coraz częściej uciekam w świat marzeń i unikam znajomych. Nie potrafię już nawet z nimi rozmawiać – nie rozumiemy się. Oni też nie szukają kontaktu ze mną, a nawet stronią ode mnie. Nie dziwię się im. Sama też się przecież nie rozumiem. Może gdybym miała kogoś, komu mogłabym się zwierzyć ze swoich smutków, z kim mogłabym porozmawiać i powygłupiać się, otrząsnęłabym się z tego snu, w którym błądzę. Mam cichą nadzieję, że wśród czytelników znajdę kogoś takiego

Pat

TOLERANCJA ZAPOMNIANE SŁOWO?

3 marca bieżącego roku zamieściliśmy w „Redakcyjnej Poczcie" list Darka skarżącego się na zachowanie kolegów, którzy dokuczali mu z powodu pochodzenia jego rodziców („Ujemne punkty za...pochodzenie"). W związku z tą sprawą do naszej redakcji nadeszło wiele listów. Wszystkie przekazaliśmy Darkowi, zaś najciekawsze przedstawiamy:

LICZY SIĘ OSOBOWOŚĆ CZŁOWIEKA

Darku, czytając Twój list byłam bardzo oburzona. Nie rozumiem bowiem jak można oceniać ludzi po tym, kim są ich rodzice. Liczy się przecież charakter człowieka, a nie jego narodowość czy imię. Cygan, Czech czy Polak tak samo może być dobrym przyjacielem, uczciwym człowiekiem.

Co zaś do Twoich obaw, że nie masz jeszcze dziewczyny, to możesz być spokojny. Nie jesteś nietypowy. Ja też nie mam chłopca, ale na pewno będę go miała we właściwym czasie. Wszystko przed nami, Darku!

Iza

WSZYSCY LUDZIE SĄ RÓWNI

Chcę wypowiedzieć się w sprawie poruszanej przez Darka, którego list przeczytałam w 27 numerze „Świata Młodych".

Moim zdaniem nieważne jest jakie ktoś ma pochodzenie, lecz jakim jest człowiekiem, co sobą reprezentuje. Wszyscy ludzie są równi bez względu na to czy mają ciemną skórę, skośne oczy czy są biali, brązowi albo czerwoni. Nie ma lepszej i gorszej rasy ludzi. To faszyści uważali się za rasę panów, rasę nadludzi, która powinna panować nad innymi. Oni właśnie poniżali Żydów. Smutne i przykre jest to, iż niektórzy Polacy również tak myśleli, a jeszcze smutniejsze i całkiem dla mnie niezrozumiałe, że i dzisiaj są Polacy niechętni innym narodowościom w naszym kraju.

Ty, Darku, czujesz się Polakiem, a więc jesteś nim bez względu na pochodzenie Twoich rodziców. Nie sądzę, by Twoi koledzy bardziej niż Ty czuli się Polakami, chociaż są nimi z pochodzenia.

Nie wstydź się imion swoich rodziców. Ja na przykład lubię staroświeckie imiona i jeśli kiedyś będę miała córkę, to nazwę ją Estera. Głowa do góry, Darku!

Celina

NIE WSTYDZĘ SIĘ, ŻE POCHODZĘ ZE WSI

Piszę do Ciebie, Darku, chociaż Cię nie znam i wiem o Tobie tylko tyle, że masz kompleksy z powodu pochodzenia rodziców.

Ja również miałam kłopoty na początku szkoły średniej, ponieważ pochodzę ze wsi, a po podstawówce zaczęłam uczyć się w Krakowie. W pierwszej klasie chłopcy ciągle naśmiewali się ze mnie i z innych osób mieszkających w internacie. To było przykre, więc martwiłam się i płakałam.

W końcu jednak koledzy przekonali się, że pomimo mojego wiejskiego pochodzenia niczym się od nich nie różnię, a nawet potrafię im pomóc, doradzić. Teraz jestem w drugiej klasie i mam wiele miłych kolegów i koleżanek. Przestałam wstydzić się tego, że jestem ze wsi. Jestem wesoła, cieszę się, że mieszkam w internacie, choć często odwiedzam mój rodzinny dom w Kasince Małej.

Nie mam jeszcze chłopaka, ale za to mam wiele zainteresowań. Tobie także radzę być wesołym i nie przejmować się złośliwością kolegów. Sami zrozumieją, że źle postępują

Basia

„CHŁOPKI PAŃSZCZYŹNIANE" NIE GORSZE OD „HRABIANEK"

Darku! Piszesz, że koleżanki i koledzy dokuczają Ci z powodu pochodzenia Twoich rodziców. Moi rodzice są rdzennymi Polakami pochodzenia robotniczego. W naszej klasie większość uczniów to dzieci profesorów, lekarzy, dyrektorów. Moja mama jest pielęgniarką, a ojciec zecerem i to właśnie koleżankom nie odpowiadało. Chełpiły się, że ich babcie były hrabiankami, właścicielkami ziemskimi, a ja... No cóż, nie lubię i nie umiem kłamać, więc nie ukrywam pochodzenia swoich rodziców, gdyż według mnie ważny jest człowiek, a nie jego pochodzenie. Tymczasem koleżanki dokuczały mi, żartując i ironizując. Wciąż się wywyższały, a gdy na lekcji historii przerabialiśmy ucisk chłopów nazwały mnie „chłopką pańszczyźnianą". Możesz sobie wyobrazić, jak się wtedy czułam! Jestem raczej wesołą dziewczyną, więc starałam się nie okazywać bólu, jaki sprawiały mi ich docinki. Najbardziej przykro mi było, gdy w ósmej klasie wypełniałyśmy ankiety do szkoły ponadpodstawowej. Moje koleżanki były szczerze oburzone, że składam podanie do liceum ekonomicznego. Ich zdaniem ja, córka robotników, powinnam pójść do zawodówki. Odradzały mi naukę w liceum, mówiąc, że nie dam sobie rady. Tymczasem ja chodzę teraz do drugiej klasy liceum, podczas, gdy wiele „hrabianek" musiało zrezygnować z tej szkoły. Wśród moich obecnych koleżanek nie ma podziału na lepsze i gorsze, choć niektóre dziewczyny ubrane w drogie spodnie i buty, traktowały nas, biedniejsze, trochę z góry. Potrafiłyśmy im jednak wytłumaczyć, że nieważne jest pochodzenie ani to, w co się człowiek ubiera. Liczy się przede wszystkim osobowość.

Napisałam tyle o sobie, Darku, byś wiedział, że wielu młodych ludzi ma problemy podobne do Twoich. Mimo to starają się z nimi walczyć i nie poddawać się przykrościom robionym przez ich rówieśników, którzy po prostu nie dorośli do tego, aby zrozumieć właściwą wartość drugiego człowieka.

Irena

NIE DAJĘ CI UJEMNYCH PUNKTÓW ZA POCHODZENIE

Darku! Mam 14 lat, warkocz, okulary i parę piegów na nosie. Nie jestem atrakcyjną dziewczyną, nie mam powodzenia u chłopców i wcale się tym nie martwię.

Przez siedem lat podstawówki byłam dla klasy „Żydówką" i „Gliniarą", dlatego, że mój ojciec jest milicjantem i nie pozwalał mi chodzić z klasą na lekcje religii i do kościoła. Mimo to chodziłam w tajemnicy przed nim. Płakałam po kątach, gdy w klasie podczas zabawy karnawałowej cały czas siedziałam sama. Nie chciałam robić mamie przykrości i cały ból nosiłam ukryty w sercu. Dopiero w ósmej klasie koledzy i koleżanki zrozumieli, że jestem taka sama jak oni. Otrzymałam nowe przezwisko („Bułeczka" – od nazwiska) i klasa mnie zaakceptowała.

Dlatego też rozumiem Twoją sytuację i chętnie zaprzyjaźnię się z Tobą. Mnie nie przeszkadza, że Twoi rodzice mają staroświeckie imiona Sama lubię takie imiona, a moje ulubione to Paulina i Bartosz. Nie daję Ci „ujemnych punktów za pochodzenie". Cześć!

Justyna

Do wypowiedzi na temat listu Darka dołączamy korespondencję, która nie jest wprawdzie skierowana bezpośrednio do niego, ale również porusza problem tolerancji względem ludzi innego pochodzenia, wyznania, języka i kultury.

LUDZIE JAK MY

Chcę poruszyć stosunek Polaków do mieszkających w Polsce Ukraińców. Dużo mówi się dziś o tolerancji religijnej wobec osób innego wyznania lub niewierzących. W praktyce wygląda to nieco inaczej.

W mojej szkole jest kilkoro ukraińskich dzieci. Często widzę w jaki sposób moi rodacy „umilają" im życie i wtedy wstydzę się, że jestem Polką. Głupie docinki typu: „jesteś Ukraińcem czy człowiekiem?" nie świadczą przecież o naszej kulturze i tolerancji. Powinniśmy wreszcie zrozumieć, że oni są takimi samymi ludźmi i jak każdy z nas mają prawo do szczęścia, radości, przyjaźni i miłości. Dlaczego nie szykanujemy Niemców, którzy przyjeżdżają do nas, bo są np. znajomymi naszych rodziców. Dlatego, że mają forsę i mogą przywieźć modne ciuchy lub czekoladę z orzechami!? Zapominamy wtedy o wszystkim, bo są „nadziani". Ukrainiec natomiast niczym nam nie zaszkodzi jeśli mu trochę uprzykrzymy żywot. Tak myślimy i zgodnie z tym przekonaniem postępujemy. Czy fakt, że ich religia jest nieco odmienna od rzymsko-katolickiej (język i obrzęd) ma przekreślać Ukraińców w naszych oczach?

Nasza nietolerancja względem nich świadczy bardzo źle o nas samych.

Agnieszka

SYGNAŁY ŚWIETLNE

S-1 Sygnalizatory z sygnałami do kierowania ruchem

S-2 Sygnalizator z sygnałem dopuszczającym skręcanie warunkowe podczas sygnału czerwonego

S-3 Sygnalizatory z sygnałami tylko dla kierunku ruchu wskazanego strzałkami

S-4 Sygnalizatory z sygnałami dla pasów ruchu o zmiennym kierunku ruchu

S-5 Sygnalizatory z sygnałami tylko dla pieszych.

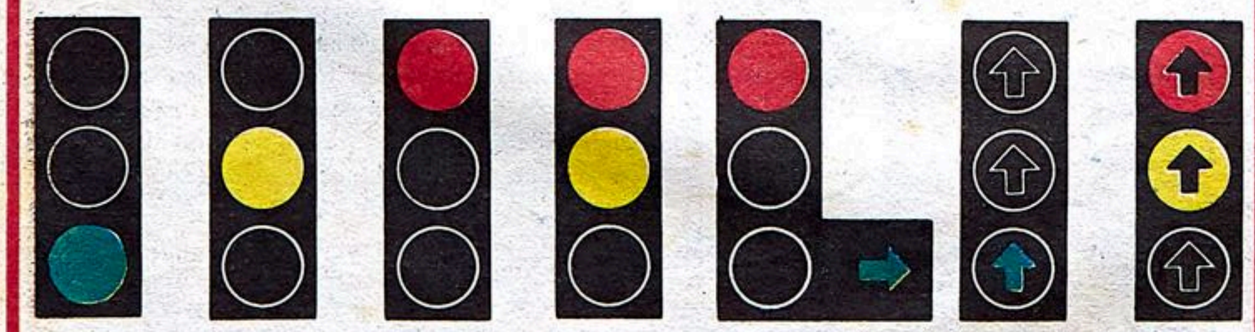

S-1

S-2

S-3

S-4

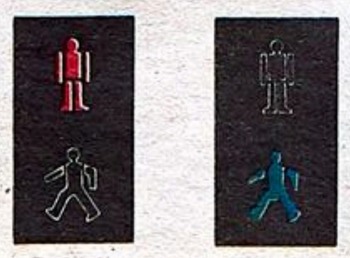

S-5

SYGNAŁY ŚWIETLNE NADAWANE PRZEZ URZĄDZENIA UMIESZCZONE NA DRODZE

Wiemy, że sygnał zielony zezwala wjechać na skrzyżowanie, lecz nie należy z tego prawa korzystać jeżeli:

– utrudniałoby to opuszczenie jezdni pieszym, którzy weszli na nią podczas zielonego sygnału;

– jeżeli na skrzyżowaniu lub za nim są tego rodzaju warunki ruchu, że nie można byłoby opuścić skrzyżowania przed zakończeniem nadawania sygnału zielonego.

Kierujący pojazdem, który wjechał na skrzyżowanie o ruchu kierowanym sygnałami świetlnymi, może je opuścić nie czekając na zielony sygnał dla swego kierunku jazdy pod warunkiem, że nie utrudni ruchu pojazdom i pieszym poruszającym się po drodze, na której ruch jest otwarty. Jeśli jednak przed jezdnią lub nad jezdnią, przez którą kierujący musiałby przejechać opuszczając skrzyżowanie, znajduje się sygnalizator nadający sygnał czerwony, to zabrania on ruchu, a więc zobowiązuje do oczekiwania na sygnał zielony.

Czerwony sygnał migający lub dwa naprzemian migające czerwone mają takie samo znaczenie jak pojedynczy sygnał czerwony ciągły – zakaz jazdy. Sygnały takie mogą być stosowane przed przejazdami kolejowymi, wjazdami na promy lub ruchome mosty albo przed miejscami wyjazdu pojazdów uprzywilejowanych na drogę.

Zatrzymanie pojazdu nakazane czerwonym sygnałem powinno nastąpić przed linią zatrzymania lub przejściem dla pieszych, a w razie ich braku przed sygnałem wysyłającym ten sygnał. Sygnały czerwone na zaporze kolejowej lub innej umieszczonej w poprzek drogi oznaczają, że droga jest zamknięta dla ruchu pojazdów.

Technika XX wieku

Zaczyna się szaleństwo

Komputery wciskają się wszędzie. Jeśli tak dalej pójdzie, to już wkrótce łopata czy grabie bez wmontowanego wewnątrz komputera – do obliczania ilości ziemi przemieszczonej za ich pomocą – traktowane będą jako nieprzydatne do niczego narzędzia. Już w tej chwili sprzedaje się w świecie miliony przedmiotów zaopatrzonych w mikroprocesory, np. zapalniczki z wbudowanym wewnątrz komputerowym zegarkiem, wieczne pióra z kalkulatorem, wideogry z ekranikiem wielkości tarczy zegarka do noszenia na ręce, które nie tylko że pokazują dodatkowo czas, to jeszcze służą jako mini odbiorniki radiowe. O elektronicznych tłumaczach, gadających samochodach, maszynach do pisania poprawiających błędy piszącego czy elektronicznych szachistach – nie warto już wspominać. Banał.

Każdy szanujący się dyrektor firmy pragnącej uchodzić za nowoczesną, funduje sobie w gabinecie komputer osobisty, bo po pierwsze taki ekran z guziczkami, na którym wyskakują różne kolorowe znaczki podnosi prestiż, a z drugiej strony istotnie pomaga w pracy. Jeśli się ją rzecz jasna poważnie traktuje...

Duże korporacje przemysłowe, wielkie światowe banki, organizacje obronne, przemysł kosmiczny – nie mogą się już obejść bez skomplikowanych systemów komputerowych, którym powierza się najtajniejsze informacje. Mnożą się więc afery, coraz częściej słychać o oszustach specjalizujących się we włamaniach do tych systemów i wykradających owe tajemnice.

Departament obrony USA ogłosił niedawno konkurs, którego celem było uzyskanie pewności, czy może istnieć całkowite zabezpieczenie przed włamaniem się do super-tajnego systemu komputerowego. Wzięli w nim udział studenci informatyki. Pierwszym, który uzyskał połączenie z owym systemem był pewien student izraelski. Potem miała miejsce niemniej słynna afera, też w USA. Jej bohaterem stała się grupa 14–15-latków, którzy dla zabawy – już bez konkursu – włamali się do innego systemu obronnego i mogli bez ograniczeń czerpać zeń dowolne informacje.

Zdaję sobie sprawę, że wszystko to sprawia wrażenie, iż te – jak dawniej mówiono – ,,mózgi elektronowe" to dziecinna zabawka i dość szybko trzeba będzie z niej zrezygnować. Tak oczywiście nie jest. Współczesna informatyka jest błyskawicznie rozwijającą się gałęzią wiedzy – szczególnie praktycznej, i to takiej, której szczytowe osiągnięcia zaczynają nam sprawiać coraz więcej kłopotu. Doszło do tego, że dla wyspecjalizowanego komputera – tej piekielnie szybko pracującej maszynki – człowiek nie jest już w niektórych przypadkach żadnym partnerem. Gdyby próbował włączyć się w jakimś momencie do procesu podejmowania przez nią decyzji, narobiłby tylko kosmicznego bałaganu. I to dosłownie, bo np. lot amerykańskiego laboratorium orbitalnego ,,Spacelab" kontrolowany jest przez pięć niezależnie od siebie działających systemów komputerowych. Połączone są one parami, po dwa. Jeśli trzeba podjąć jakąś decyzję, dwa niezależne systemy pierwszej dwójki dokonują obliczeń i podają wyniki komputerowi nr 5, który je porównuje i gdy są zgodne, wydaje odpowiednie dyspozycje mechanizmom stacji.

Jeśli wyniki nie są zgodne, ,,piątka" ponownie rozkazuje przeprowadzenie takich samych obliczeń, tym razem drugiej parze komputerów – i znów je porównuje. Wszystko to dzieje się z szybkością miliona, lub więcej, operacji na sekundę, decyzja zajmuje również tyle czasu. Człowiek nie ma tu nic do gadania, wszystko co może zrobić, to przyjąć do wiadomości o czym zadecydowano bez niego, lub... wyłączyć te wszystkie komputery, skazując tym samym stację na milczenie bądź zniszczenie.

Na tym przykładzie widać już dość jasno, że nasze coraz śmielsze próby zapanowania nad naturą za pomocą coraz bardziej wyrafinowanych technik i przyrządów, ograniczają równocześnie nasz bezpośredni wpływ na wszystko co się dzieje. Niejednokrotnie pozbawieni jesteśmy nawet możliwości sprawdzenia słuszności decyzji maszyn, i gdyby była ona fałszywa – nie mamy już nawet szansy na przeciwdziałanie jej zgubnym skutkom.

Szczególnie niebezpieczene jest to w przypadku rakiet samosterujących z głowicami nuklearnymi, które stoją sobie po prostu na wyrzutniach pod kontrolą komputerów, gotowe w każdej chwili do użycia.

Wszak wystarczy jeden nieodpowiedzialny człowiek, jedna błędna ocena systemu zabezpieczającego, aby nastąpiło odpalenie takiej rakiety. A od tego momentu dosłownie nikt już nie ma możliwości wpłynięcia na jej lot. Kierowana jest bowiem własnym komputerem, podejmującym decyzje samodzielnie i praktycznie całkowicie odpornym na zakłócenia. Żeby nie wiem co, to po kilkunastu lub kilkudziesięciu minutach doleci do zaplanowanego celu. Chyba, że jej dysponent zadecyduje, aby eksplodować ją wcześniej, co na jedno wychodzi...

Powszechna komputeryzacja, jaka opanowuje świat ma więc i takie oblicze. Ostatnio jednak coraz więcej mówi się o tzw. systemach automatycznego reagowania.

Wygląda to z grubsza tak, że w przypadku gdy strona przeciwna wystrzeli swoje rakiety – a informację o tym w ułamku sekundy podadzą satelity szpiegowskie – odpalenie rakiet własnych nastąpi już bez decyzji ludzi. Czy w takiej sytuacji niebezpieczeństwo konfliktu jeszcze wzrasta?

Otóż wbrew pozorom – właśnie maleje! Bowiem zasadą każdej wojny, jak dotąd, było również liczenie na błędy przeciwnika, np. na to, że spóźni się z decyzją, że zawaha się z atakiem lub najzwyczajniej stchórzy – w wypadku automatu rzecz nie do pomyślenia. A więc agresor ma 100-procentową pewność, że spotka go dokładnie to, co sam zaplanował.

Naciskając guzik z napisem ,,wojna" wydaje bezapelacyjny wyrok na siebie samego, gdyż precyzyjna odpowiedź przyjdzie natychmiast ze strony nieubłaganej maszyny, która żadnych ludzkich rozterek nie przeżywa. Zwiększy się więc jak gdyby nasza nadzieja na zażegnanie lub choćby zmniejszenie zagrożenia nuklearnego, które w ostatnim czasie stało się problemem numer jeden naszego skłóconego i rozdartego świata. Jeśli ów – trzeba przyznać – dość niespodziewany ratunek zawdzięczać będziemy komputerom, możemy im wybaczyć wszystko cokolwiek nam przyniosły złego...

JERZY DĄBROWSKI

Tajemniczy samotnik z puszczy (1)

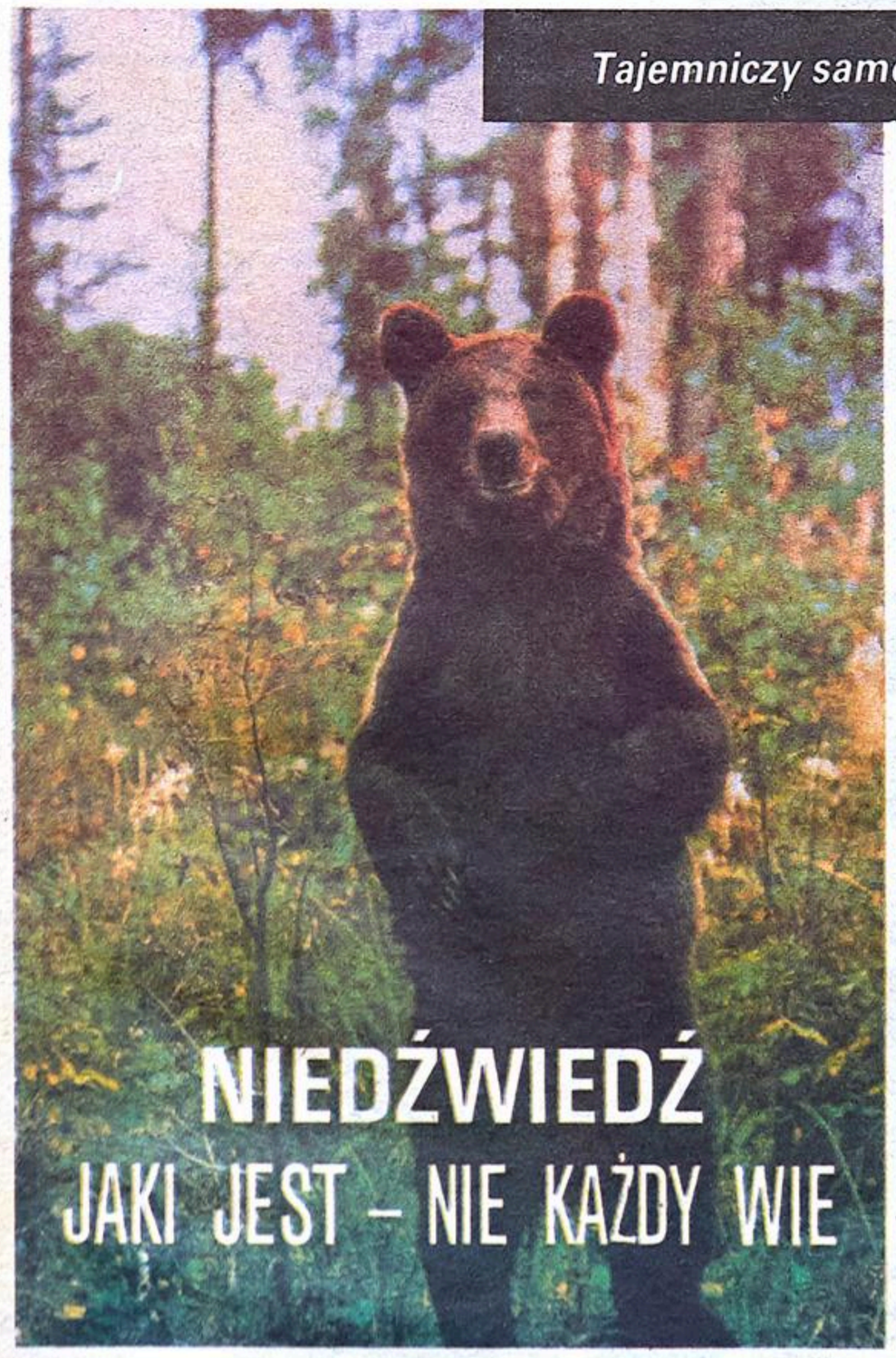

Mało jest zwierząt, o których krąży tyle sprzecznych lub zgoła fantastycznych opowieści, ile o niedźwiedziu brunatnym. Raz jest przedstawiany jako okrutny drapieżca czyhający na bezbronne ofiary, napadający bez powodu na ludzi, raz jako olbrzym-poczciwina, który nikomu nie robi krzywdy, a życie spędza na przechadzkach po lesie wśród wonnych ziół i cienistych zarośli. Tak skrajne oceny spowodowane są tym, że opierają się na relacjach ze spotkań z pojedynczymi osobnikami. A przecież są to zwierzęta – indywidualiści; można by powiedzieć – co niedźwiedź to charakter.

We wszystkich opowiadaniach i opisach podkreślony jest bardzo wyraźnie jeden element – a mianowicie ogromna siła niedźwiedzia, pozwalająca mu zabić jednym ciosem nawet łosia. Cechę tę zauważyli już nasi praprzodkowie. Wizerunkom tego zwierzęcia umieszczonym na amuletach, jego zębom i kościom przypisywali magiczną moc. Miały one dodawać siły walecznym wojownikom.

Kiedyś było to zresztą zwierzę bytujące prawie na całym świecie, oprócz Australii, Arktyki czy Antarktydy. W Europie, postępujące procesy industrializacyjne ograniczają dziś tereny występowania niedźwiedzi.

Obecnie można na nie natrafić w górskich, lesistych rejonach Albanii, Jugosławii, Czechosłowacji, Rumunii, Norwegii, Szwecji, Włoch, Hiszpanii i Francji. Nieprzebyte puszcze Rosji, Litwy czy Białorusi są także ich ostoją. W Anglii ostatni osobnik został zabity w XI wieku. W Niemczech definitywnie zgładzono niedźwiedzie na przełomie XVII i XVIII stulecia.

W Polsce pojedyncze sztuki można spotkać jeszcze w Bieszczadach, Tatrach i Beskidach. Tuż przed wojną próbowano osiedlić niedźwiedzie w Białowieży, niestety, bez rezultatu. Jeszcze w 1945 r. spotykano tam matkę z młodymi, ale słuch po nich zaginął. Prawdopodobnie albo zostały zabite przez amatorów niedźwiedziego mięsa, albo wyemigrowały w bezpieczniejsze, bardziej spokojne rejony.

Niedźwiedzie spotykane w naszych górach są najczęściej ,,turystami", urządzającymi sobie wycieczki z terenów Słowacji czy Ukrainy. Nawet te nieliczne, pojedyncze zwierzęta są co jakiś czas przyczyną niepokojów w prasie, wywołanych głównie przez ambitnych myśliwych pragnących posiadać oryginalne trofeum, a nie przez poszkodowanych gospodarzy, którym misie zdemolowały pasiekę czy pozabijały owce.

Turysta, który spotka w lesie niedźwiedzia, może mówić o dużym szczęściu, ale nie powinien zapominać, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak się zwierzę zachowa. Po pierwsze nie należy niczym w niego rzucać, ani pohukiwać, lecz dyskretnie i w miarę bezszelestnie usunąć się z jego pola widzenia. To pozornie ociężałe zwierzę dobrze biega i świetnie pływa, lepiej więc go nie prowokować.

Uważny obserwator przyrody łatwo może dostrzec znaki, świadczące o tym, że znajduje się na terenie niedźwiedzia. Są to wydrapane pazurami na korze drzew charakterystyczne ślady na wysokości około 1,8–2 m. A także pozostała na pniu sierść, wydarta przy czochraniu się o drzewo. Trzeba wiedzieć, że misie robią to z ogromnym zapałem. Znaki takie pozostawiają w ważnych punktach swojego rewiru; przy wodopoju, jagodowisku, na najbardziej uczęszczanych szlakach. Jeden niedźwiedź zajmuje około 10–30 km kw. mieszanego lasu, o bogatym runie. Rewiry wielu zwierząt nakładają się na siebie – na przykład wspólny jest wodopój czy polana obfitująca w maliny. Nie jest łatwo określić dokładnie granice poszczególnych posiadłości. Niedźwiedź nie ma z tym żadnych trudności i kontroluje je w trakcie codziennego obchodu. Od czasu do czasu wdrapuje się nawet na drzewa, bacznie rozglądając się po okolicy, a przy okazji penetrując ptasie gniazda. Niekiedy dochodzi do spotkań kilku sąsiadów. Ganiają się wtedy, bawią w berka, pływają, łapią patyki. Godzinami potrafią wylegiwać się w płytkiej wodzie obserwując otoczenie. Zabawy w wodzie służą głównie pielęgnacji futra – niedźwiedzie to bardzo czyste zwierzęta.

Potężne kły świadczą, że niedźwiedź to drapieżnik. Ale wbrew obiegowej opinii – robi z nich użytek bardzo rzadko. Na co dzień odżywia się pokarmem roślinnym. Z ogromną cierpliwością obskubuje krzaki malin i jeżyn. Pomagając sobie czasem łapą – odpowiednio odchyla gałęzie, tak aby łatwiej mógł wyjadać owoce. W skład typowego niedźwiedziego menu wchodzą jagody, poziomki, grzyby, zioła, żołędzie, orzechy, igliwie, młode pędy roślin i oczywiście przysmak nad przysmakami – miód. Łakomstwo każe mu włazić na drzewa aby dobrać się do gniazd dzikich pszczół i zjadać całe plastry. razem z owadami i woskiem. Gęste futro chroni go dość skutecznie przed ukąszeniami, jedynie nos, wargi i powieki narażone są na bolesne ukłucia. Drapieżność niedźwiedzia ujawnia się jedynie wtedy, kiedy nie ma nic innego do jedzenia: na wiosnę, gdy wygłodniały po zimie nie znajduje odpowiedniej ilości pokarmu roślinnego, lub późną jesienią – kiedy nie zdążył zgromadzić odpowiedniego zapasu tłuszczu na zimę. Wiele obserwacji świadczy o niechęci niedźwiedzi do ludzkiego mięsa. Zdarza się, że zabijają człowieka, ale na wolności nie zjadają go.

Inaczej bywa w ogrodach zoologicznych, ale to całkiem inna sprawa... Adam Mickiewicz napisał , że *,,...niedźwiedź Litwin miąs nieświeżych nie je"*. Nie jest to sąd prawdziwy. Bardzo głodny nie gardzi żadną padliną...

WOJCIECH CICHAŃSKI

(dokończenie w następnym numerze)

Fot. **archiwum**

CO DALEJ ÓSMA KLASO

CHCĘ PRACOWAĆ Z PRZEDSZKOLAKAMI

O pracy w przedszkolu marzę od dawna. Jestem w ósmej klasie i wkrótce będę musiała złożyć dokumenty do odpowiedniej szkoły. Napiszcie, proszę, do jakiej? Chciałabym też dowiedzieć się gdzie takie szkoły się znajdują oraz z czego zdaje się egzaminy wstępne?

Ala

Nauczycieli przedszkoli przygotowują Studia Wychowania Przedszkolnego. Kandydaci do tej szkoły muszą mieć uzdolnienia muzyczne i plastyczne oraz legitymować się zaświadczeniem lekarskim stwierdzającym przydatność do zawodu nauczyciela. Egzamin wstępny składa się z dwóch części. Podczas pierwszej, będącej sprawdzianem słuchu kandydata, badane są ogólne predyspozycje muzyczne. Uzyskanie pozytywnego wyniku z tego sprawdzianu jest warunkiem dopuszczenia do następnych egzaminów. Składa się je z języka polskiego, matematyki i wychowania plastycznego (sprawdzian z rysunku).

Nauka w Studium trwa 6 lat. Podczas pierwszych 8 semestrów obejmuje przedmioty ogólnokształcące oraz psychologię, pedagogikę, podstawy rozwoju i wychowania, naukę gry na instrumencie, nadobowiązkowo drugi język zachodnioeuropejski oraz chór szkolny. Po czwartym roku nauki uczniowie składają egzamin dojrzałości na takich samych zasadach jak w innych szkołach średnich.

Pomyślne złożenie egzaminu maturalnego uprawnia do kontynuowania nauki w Studium przez następne dwa lata. W ciągu tych kolejnych 4 semestrów do programu nauczania wprowadzane są nowe przedmioty, m. in. literatura dla dzieci, elementy logopedii (poprawnej wymowy), wybrane zagadnienia z filozofii, logika, pedagogika przedszkolna, metodyka nauczania początkowego oraz praktyka pedagogiczna w przedszkolach i szkołach ćwiczeń. Nauka w Studium kończy się egzaminem dyplomowym. Absolwenci mogą być zatrudnieni w przedszkolach lub innych placówkach wychowania przedszkolnego.

Takich szkół jest wiele (67). O ich lokalizacji możesz dowiedzieć się z ,,Informatora o szkołach zawodowych dla absolwentów szkół podstawowych" lub w Kuratorium Oświaty i Wychowania. **(ws)**

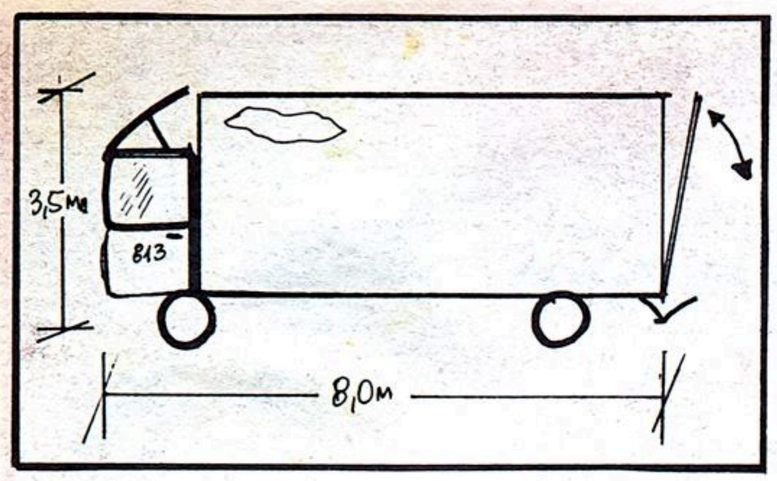

Uwaga, drużyny harcerskie!

PÓŁ MILIONA ZŁOTYCH NAGRODY ZA WYTROPIENIE SKRADZIONEJ CIĘŻARÓWKI-MEBLOWOZU

Późnym wieczorem, 31 marca br. z olsztyńskiej ulicy skradziono ciężarówkę-meblowóz, marki Mercedes, model 813. Trwające już parę tygodni poszukiwania nie przyniosły dotąd rezultatu. Właściciele samochodu, państwo E.A. Żejmo, doszli do wniosku, że jedyna nadzieja w harcerzach, którzy w tropieniu są niezastąpieni. I stąd, za naszym pośrednictwem, zwracają się do wszystkich drużyn harcerskich z prośbą o pomoc w znalezieniu Mercedesa. Jak wygląda – przedstawia rysunek. Jest to duży meblowóz długości 8 m, wysokości 3,5 m, koloru wiśniowego. Klapa od skrzyni ładownej (aluminiowej) zamykana jest hydraulicznie. Na drzwiach kabiny kierowcy znajduje się oznaczenie modelu – 813.

I jeszcze jeden szczegół charakterystyczny – u góry skrzyni ładownej, po stronie kierowcy, lekkie poprzeczne wgniecenie.

Dla znalazcy (znalazców) ciężarówki jej właściciele wyznaczyli nagrodę w wysokości pół miliona złotych, lub sprzęt turystyczny o tej wartości.

Na informacje od Was oczekuje pani Ewa Żejmo, Olsztyn, Stare Miasto 21 m. 5, telefon – 33-05-45 Olsztyn. (mj)

NA WYSPIE CAPRI

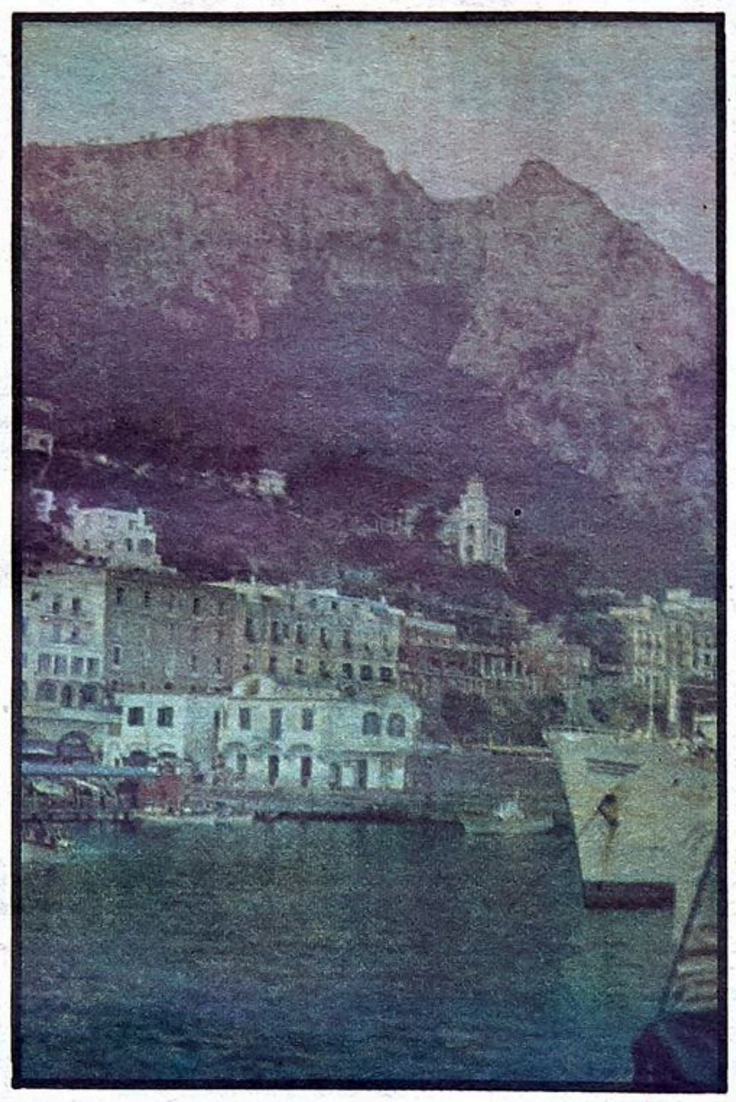

Wpływamy do Marina Grande, głównego portu Capri

Podróż statkiem z Neapolu wprost na Capri trwa tylko godzinę. Już od połowy drogi przez Zatokę Neapolitańską widać kontury wyspy, a szczególnie dwa jej wierzchołki, tworzące w zarysie jakby wielkie, zatopione w morzu siodło.

Capri! ...*„Wspaniały niebiesko-lazurowy kolor morza, cudowny klimat, nieskończone bogactwo kwiatów, słynna grota, fascynująca historia wydarzeń i ludzi, którzy tu mieszkali, czynią z Capri najpiękniejszą wyspę Morza Śródziemnego”*... – mówi przewodnik sprzedawany (a raczej siłą wciskany do ręki!) turystom na przystani w Neapolu. Stąd co dwie godziny odpływa statek oraz co trzy odlatuje helikopter na: Capri, Ischię, Sorrento i do innych miejscowości rozsianych wokół Zatoki.

Capri? ...*„Powierzchnia 10,5 km² (długość 6 km, szerokość 1–2 km), 9 tysięcy mieszkańców, największa wysokość 590 metrów, skalista wyspa z wapienia górnojurajskiego, o wysokich brzegach opadających stromo do morza, brak naturalnych plaż, zjawiska krasowe”* ... notuje Encyklopedia Powszechna.

Capri! Wyspa, gdzie od najstarszych czasów wielcy tego świata budowali sobie pałace i wille, w których odpoczywali zmęczeni życiem wśród ludzi. Mieszkali tu cesarze August i Tyberiusz, zbudował sobie zamek Fryderyk Barbarossa, założyli klasztor benedyktyni z Monte Casso. W czasach Odrodzenia i Renesansu mieli tu swoje wille kardynałowie i książęta dworu neapolitańskiego. Na Capri zatrzymywał się admirał Nelson, a później Garibaldi. W naszych czasach Axel Munthe zbudował tu swoją słynną willę „San Michele”. A dziś na Capri znajdują się najdroższe pensjonaty i hotele oraz prywatne rezydencje najbogatszych ludzi świata...

Statek wpływa do Marina Grande, głównego (jednego z dwóch) portu wyspy. Ogarnia nas hałas i ruch. Różnojęzyczny tłum turystów z całego świata (głównie Niemcy, Anglicy i Skandynawowie) przewala się wąskimi ulicami przystani, ogląda wystawy sklepowe i pamiątki. Właściciele małych kutrów i motorówek głośnym krzykiem zachęcają do zwiedzania słynnej Lazurowej Groty. Wypełnione ludźmi łódki pospiesznie odpływają, podczas gdy ci, którzy nie mają jeszcze kompletu pasażerów drą się na całe gardło: „Visitare Grotta Azzura”!

Odkładamy jednak na później wycieczkę do słynnej „Grotta Azzura”, by poświęcić ten jedyny w swoim rodzaju dzień na zwiedzanie starożytnych zabytków Capri. Głównym celem jest dotarcie do ruin willi cesarza Tyberiusza, które znajdują się na samym szczycie lewego (wschodniego) wierzchołka wyspy.

A więc najpierw „Funicolare”, linowa kolejka (łudząco podobna do zakopiańskiej na Gubałówkę), wynosi nas w trzy minuty z portu Marina Grande na górę do miasteczka Capri (245 m n.p.m. – 5 000 mieszkańców).

Tutaj świat trochę jak z bajki. Maleńkie miasteczko o średniowiecznych uliczkach, nie-

Gen. brygady Franciszek Skibiński jest kawalerem Krzyża Złotego Orderu Virtuti Militari, trzykrotnie odznaczono go Krzyżem Walecznych. Ma wiele i innych wysokich odznaczeń polskich i zagranicznych

Polskie rodowody

ŻOŁNIERSKIE DROGI (2)

Z czarnym naramiennikiem

Dowództwo brygady zwanej i w Anglii po staremu. 10 Brygadą Kawalerii, objął – przybyły drogą nieco dalszą, bo aż z Casablanki – gen. Stanisław Maczek. W uznaniu zasług brygady generał Władysław Sikorski nadał jej jako zbiorowe odznaczenie bojowe przywilej noszenia jednego (lewego) naramiennika w odmiennej, czarnej barwie. Przywilej ten automatycznie rozszerzył się na całą sformowaną w Anglii dywizję, która otrzymała nazwę 1 Dywizji Pancernej. Liczyła ponad 15 tysięcy szeregowych, ponad 800 oficerów, 381 czołgów, 400 pojazdów mechanicznych. Ułańskiej fantazji i odwagi było w niej moc.

W drugiej połowie lipca 1944 roku 1 Dywizja Pancerna znalazła się pod Londynem. Kierowano tam wszystkie dywizje wchodzące w skład 21 Grupy Armii Sprzymierzonych marszałka Montgomerego, przed zaokrętowaniem ich do Normandii, która stała się miejscem desantu aliantów. Lądowanie wojsk na francuskim wybrzeżu odbyło się 6 czerwca.

Pierwszym rzutem polskiej dywizji, który miał wytyczyć biwaki na wybrzeżu Normandii, dowodził (już w randze pułkownika) Franciszek Skibiński. O świcie ruszył spod Londynu na czele kolumny. Towarzyszyły im niemieckie pociski V1, zwane przez Polaków „ślepogratami”. Po czterech latach nieobecności w Europie mieli wkrótce dotknąć stopami znajomej ziemi, wyrównać rachunki z Niemcami. W porcie byli 30 lipca. Morze ujrzeli gładkie i niebieskie, za to niebo a czarne od balonów zaporowych wiszących nad statkami. Barki desantowe krążyły bez przerwy wyrzucając na francuski brzeg żołnierzy, czołgi i żywność. Polacy z 1 Dywizji Pancernej wylądowali na plaży Normandii i oczekiwali bezczynnie prawie tydzień w kurzu i upale. 3 sierpnia dowiedzieli się o wybuchu powstania w Warszawie, kiedy więc wkrótce dostali się w ogień niemieckich dział, czuli, że przynajmniej w ten sposób dzielą los z ludnością stolicy.

Dzień wcześniej przybył do dywizji sam dowódca 21 Grupy Armii, marszałek Montgomery. Płk. Skibiński szczegółowo opisał w swoim dzienniku to, co rzucało się w oczy, a co towarzyszyło marszałkowi, nadając nieco groteskowy charakter jego wizycie. Otóż koło jego domku na kółkach widziało się nie tylko psy, ale i pawie, i papugi. A ponieważ marszałek, zwycięzca kampanii afrykańskiej, wypoczywał dobrze jedynie na piasku pustynnym, wożono za nim piasek z pustyni libijskiej... Rzecz jasna, ten autentyczny wyczerpał się i ordynansi napychali worek piaskiem zebranym na francuskiej plaży, o czym wódz nie wiedział.

Dziwaczny sposób bycia marszałka wzbudzał zdumienie żołnierzy. Ze zdziwieniem patrzyli na jego różowy sweter z baretką Orderu Łaźni, spodnie z welwetu, zamszowe pantofle. Na głowie „Monty” nosił beret wojsk pancernych ozdobiony aż dwiema odznakami. (Można to obejrzeć na zdjęciu w encyklopedii.) Wrażenia, jakie wywoływał swoim strojem, dorównywały informacjom, które przekazywał oficerom na temat planu okrążenia wojsk niemieckich na obszarze Caen – Falaise. Płk Skibiński z przygnębieniem wysłuchał słów marszałka. Podobne wątpliwości co do trafności przyjętej przez niego taktyki miał i gen. Maczek.

W historii drugiej wojny światowej bitwę, którą 1 Dywizja Pancerna stoczyła w Normandii, nazwano bitwą pod Falaise (czyt. Falez). Była ona źle przygotowana... Od razu nastąpiło osłabienie wsparcia artylerii wskutek potężnego uderzenia własnego lotnictwa. Większość bomb spadała nie na Niemców, a na swoich... Straty poniosła artyleria kanadyjska, w 1 Pancernej również byli zabici i ranni, dwa czołgi zostały zniszczone, ale z tego ataku swoich na swoich – 1 Dywizja Pancerna wyszła obronną ręką. Trwają-

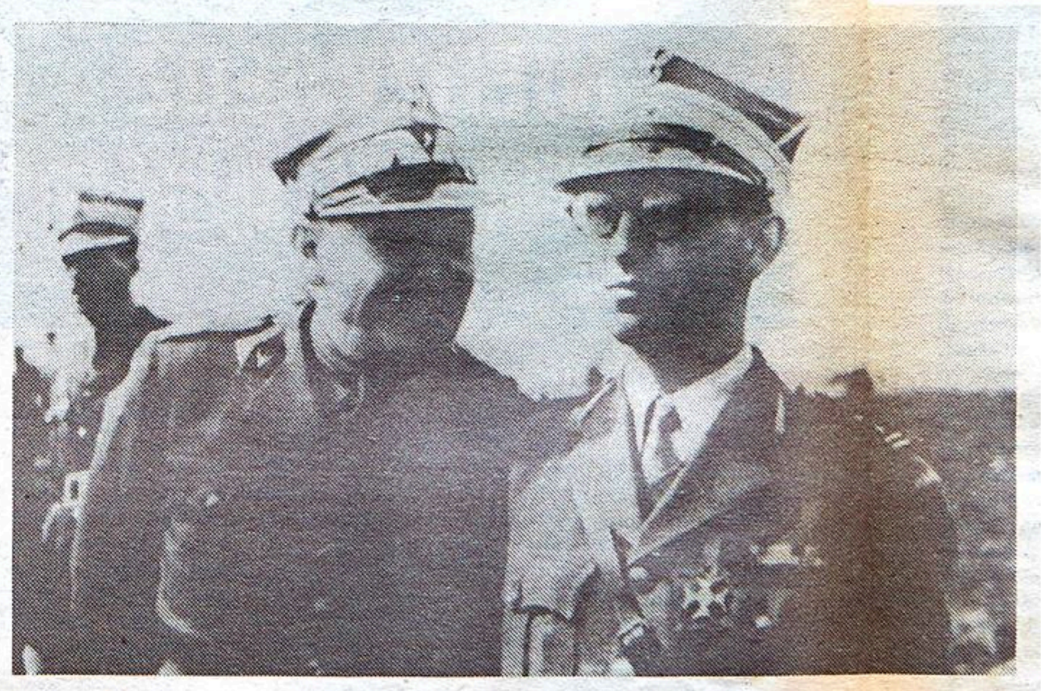

Ppłk Franciszek Skibiński w Szkocji, w 1942 r. Z lewej gen. Stanisław Maczek, dowódca 1 Dywizji Pancernej

których tak wąskich, że rozłożonymi rękami można dotknąć domów z obu stron, prowadzących zawsze stromo w górę lub w dół – wypełnione jest sklepikami, kramami i tłumem turystów z całego świata. Panuje ogólna radość, gorączka, podniecenie, każdy ma wrażenie, że coś miłego dla niego za chwilę się wydarzy. Centralne miejsce to maleńki ryneczek, prawie całkowicie zastawiony stolikami kawiarni i restauracji. Pod rozpiętymi parasolami pełno gości. Naprzeciw stary kościółek z wielkim zegarem na wieży. Jakby żywcem z ekranu filmowego przeniesieni, przystojni, kolorowo ubrani chłopcy i dziewczęta stoją w drzwiach niezliczonych sklepików lub siedzą na stopniach domów.

Już samo krążenie po uliczkach Capri, oglądanie wystaw, niezliczonych sznurów czerwonych i białych korali,stosów muszli wszelkiego rodzaju i kształtów, pamiątek i regionalnych drobiazgów, dostarczyłoby dosyć wrażeń na cały dzień, lecz czas nagli. Wyruszamy więc pod górę wąskimi uliczkami, wśród zwieszających się z kamiennych murów winogron i bluszczu, wśród kaktusów i palm. Mijamy w drodze drzemiące w słońcu, wytworne, ekskluzywne wille i pensjonaty.

Droga – przeważnie obmurowana kamiennymi balustradami – niedostępna (na szczęście) dla samochodów, wije się w rozlicznych zakrętach coraz wyżej i wyżej. Po około pół godzinie domy i wille kończą się. I wtedy roztacza się przed nami szczyt Monte Tiberio (334 m n.p.m.), a na nim olbrzymie ruiny. Wyspa silnie się tu podnosi, a równocześnie zwęża. Widać teraz morze z obu stron. W południowym słońcu błyszczy miejscami oślepiająco. Droga zmienia się w kamienistą ścieżkę, pnie się coraz bardziej w górę. Wchodzimy w obręb ruin.

Czas cofa się i znajdujemy się w starożytności...

Z dwunastu (!) pałacyków w różnych punktach wyspy, jakie wybudowali cesarze August i Tyberiusz, pozostała dziś tylko „Villa Lovis", ruina największej i najpiękniej położonej. Wtopiona w skały na samym szczycie ciągle jeszcze sprawia imponujące wrażenie.

Kamienne stopnie wiodą w głąb murów sprzed dwóch tysięcy lat.

Wewnątrz, na pierwszym poziomie, wybrukowany dużymi płytami podworzec, podstawy potrzaskanych kolumn zarośnięte trawą i kaktusami. Wielkie kamienne łuki murów prowadzą pochyłym wejściem w górę. Tu zaczyna się właściwy pałac. Wysokie, pozbawione sklepień sale z grubych płaskich cegieł i piaskowca ciągną się rzędami. Przejścia bez drzwi wiodą z jednych do drugich. Gdzieniegdzie zatarte i zniszczone ślady tynku lub mozaiki. Ale to wyjątki. Pozostał tylko goły mur i kamienna podłoga.

I cisza! Wspaniała, poważna, nakazująca milczenie cisza... Cisza przeszłości. Tu mieszkał pierwszy cesarz August! A po nim:

„... Tyberiusz – sprzykrzywszy sobie municipia, kolonie i wszystkie miejscowości położone na lądzie stałym, ukrył się na wyspie Kaprei, która od krańców Przylądka Surrentyjskiego oddziela szeroka na trzy mile cieśnina morska. Zapewne jej odludność szczególnie mu się podobała, ponieważ oblewające ją morze nie nastręcza żadnego portu, a zaledwie dla średniej wielkości statków jest kilka stanowisk, nadto nikt nie może tam wylądować, by go strażnik nie zauważył. Klimat wyspy w zimie łagodny, w lecie przyjemny, a roztacza się stamtąd widok na najpiękniejszą zatokę. Rozpostarł się tu Tyberiusz z dwunastu ogromnymi willami o osobnych nazwach, a jak przedtem gorliwie oddawał się zajęciom publicznym, tak teraz w tym samym stopniu puścił swobodnie cugle bardziej tajemnym zbytkom i złowróżebnej gnuśności..." (Tacyt: „Roczniki" Księga IV/66).

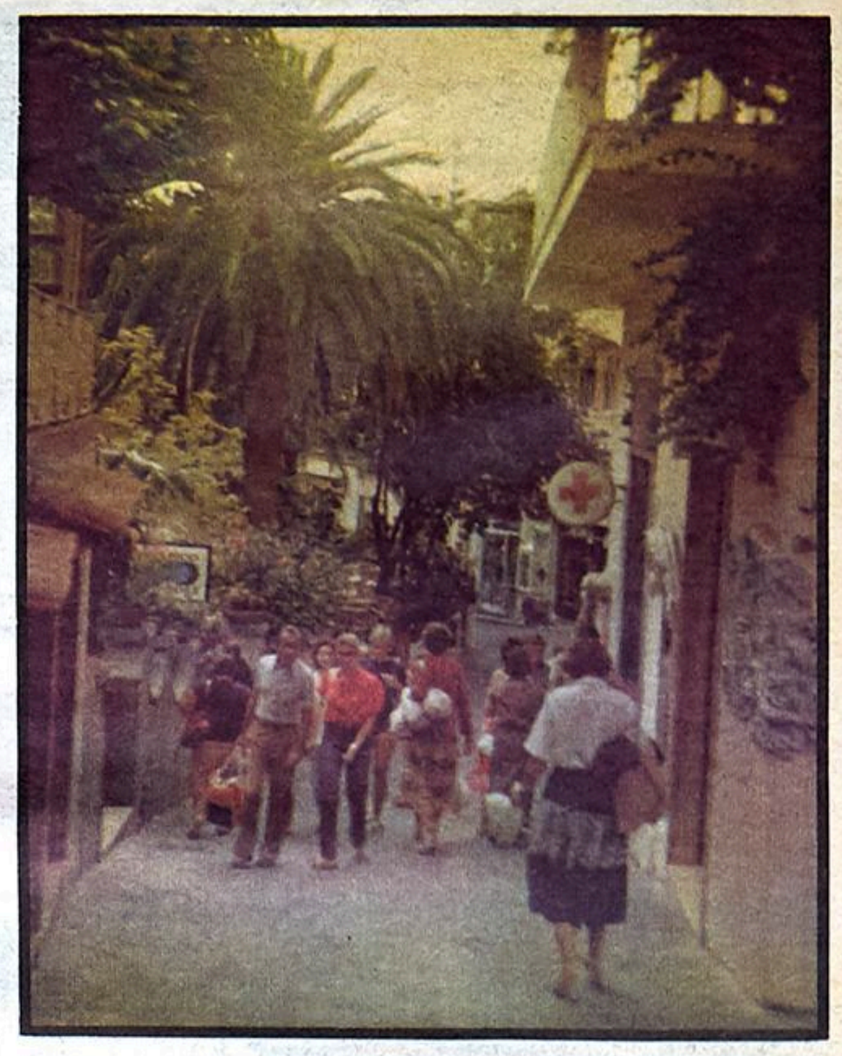

Przy każdej szerszej uliczce mnóstwo sklepików, kramów, z ciuchami, biżuterią, pamiątkami – często tandetnymi

Dziś nikogo tu nie ma. Jesteśmy zupełnie sami w tych ruinach. I tylko czasem wygrzewające się w słońcu jaszczurki uciekają spod nóg, szeleszcząc wśród traw i kamieni...

CIĄG DALSZY NA STR. 7

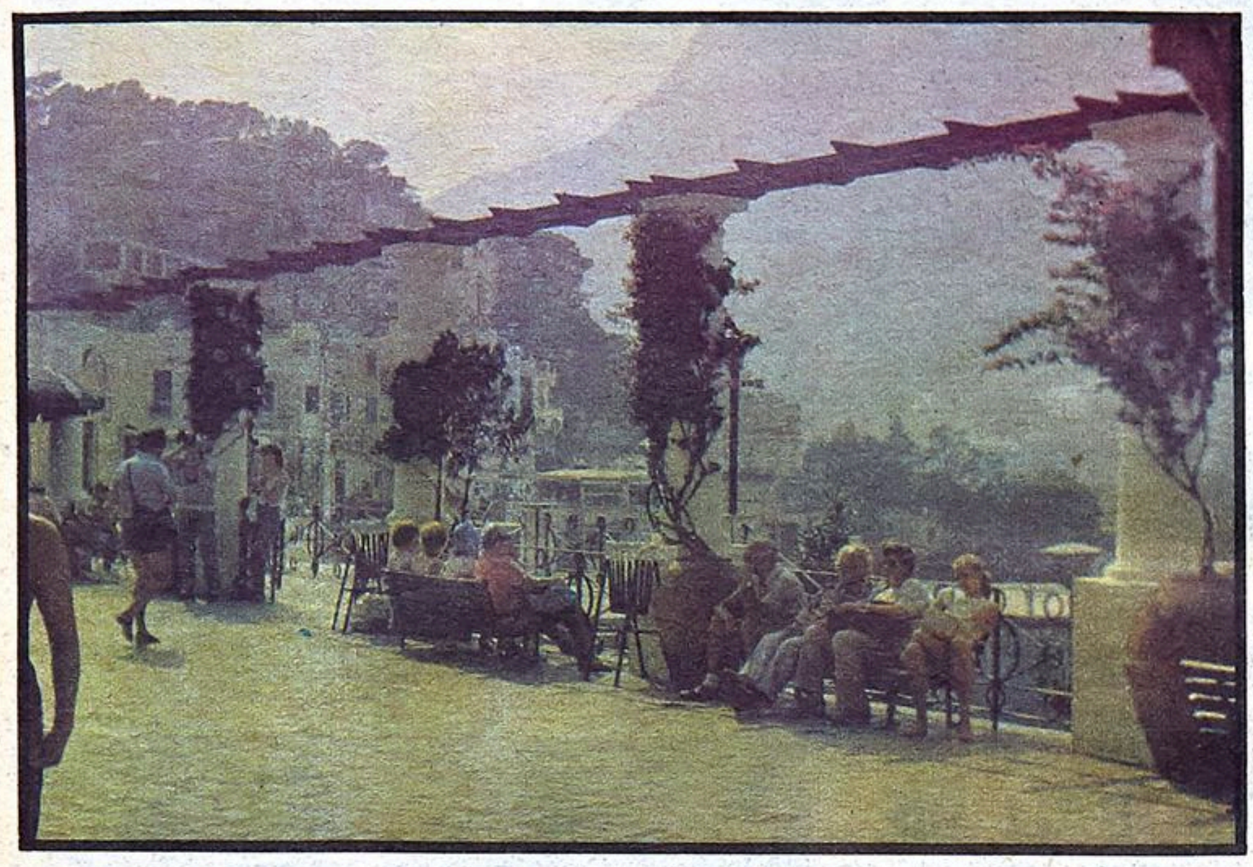

Obok maleńkiego ryneczku taras widokowy, jedni patrzą na port, inni obserwują przetaczające się przez plac grupy turystów

Fot. **M. Jaworska**

ca od 8 do 22 sierpnia bitwa pod Falaise pochłonęła jednak ponad 1500 Polaków. Dawna polska 10 Brygada Kawalerii spotkała się tu z dywizją niemiecką, sformowaną z dawnej 4 Dywizji Lekkiej, przeciwko której walczyła we wrześniu na własnej ziemi. Odegrali się teraz, biorąc do niewoli 150 niemieckich oficerów (razem z dowódcą korpusu), 5500 szeregowców, sporo sprzętu bojowego. Gazety brytyjskie rozpisywały się o męstwie Polaków.

1 Dywizja Pancerna została w rejonie Falaise do końca operacji, oczyszczając teren z resztek oddziałów hitlerowskich. Do pościgu włączyła się 1 września.

Płk Skibiński został dowódcą 3 brygady strzelców i choć właściwie szczęście mu dopisywało, teraz spotkał go pech: podczas rozładowywania pistoletu sam postrzelił się w stopę. Dowodzenie objął już na ziemi belgijskiej, dokąd wiodła droga pancernych. Witano ich tu jak oswobodzicieli. Biało-czerwone symbole w oknach Gandawy, honorowe obywatelstwo przyznawane Polakom... Podobnie było w Holandii. W mieście Axel stanął na rynku pomnik na cześć 3 brygady. Data wyryta na nim, 19 września, przypominała jakże inny 19 września, ten w 1939 roku, gdy przekraczali granicę węgierską... Wyzwolona Breda nadała również honorowe obywatelstwo Pierwszej Pancernej. Czuli się tu jak u siebie.

Oczywiście wojna była wojną, przybywało nazwisk na listach poległych. Wykrwawiona dywizja zimę z 1944 na 1945 spędziła nad rzeką Mozą w błotnistych okopach. Podczas tych 5 miesięcy dywizja została pod każdym względem uzupełniona. Odwiedził ich też generał Eisenhower, w przeciwieństwie do Montgomerego zachowujący się bardzo bezpośrednio i zwyczajnie.

6 kwietnia cała Dywizja otrzymała kolejny rozkaz bojowy. Spod Bredy wyruszyli w kierunku granicy niemieckiej. Pierwszym miastem na ich trasie była kupa gruzów. Tablica z angielskim napisem wyjaśniała: „Tu było Goch". Pomiędzy gruzami kwitły magnolie. 12 kwietnia wyzwolili obóz jeniecki, gdzie za drutami siedziały polskie kobiety, żołnierze AK z Warszawy. Tydzień później sforsowali dwie ciężkie przeprawy, wzięli trzy setki jeńców. W niemieckich miasteczkach i wioskach wisiały już białe flagi, ale niemiecki Wehrmacht bił się tak, jakby to był pierwszy dzień wojny.

Dla płk. Skibińskiego wojna zakończyła się 5 maja. Już było wiadomo, że Hitler popełnił samobójstwo, III Rzesza przestała istnieć.

*

Płk Skibiński znalazł się znów w Anglii... Ciągnęło go do kraju. Miał w Polsce córkę, dwie siostry, ojczyznę po prostu. Decyzję podjął w 1947 roku. Pożegnał się z generałem Stanisławem Maczkiem, wsiadł na pokład statku, który odpływał z Edynburga do Gdyni. Wracał do Ojczyzny po siedmiu latach, po trzech kampaniach wojennych stoczonych w pięciu krajach Europy.

Zaproponowano mu prowadzenie wykładów w Akademii Sztabu Generalnego, został mianowany szefem katedry wojsk pancernych i zmotoryzowanych. Swoje obowiązki pełnił do roku 1951, kiedy to zaczęły się aresztowania wśród oficerów, którzy walczyli na zachodzie. Przyszła kolej i na niego. Myślał, że to pomyłka... Wytrwał w tej katastrofie z godnością. W kwietniu 1956 roku został zrehabilitowany. Ale spędził w więzieniu 5 lat bez 6 dni.

Wrócił do wojska, został zastępcą szefa biura studiów sztabu generalnego, a później szefem tego biura. W stopniu generała brygady (od 1958 r.) pracował do 15 sierpnia 1964 r. W tym czasie napisał też „Pierwszą Pancerną" (pierwsze wydanie ukazało się w 1959 r.) Jakże przydały się te trzy zeszyty, w których na gorąco notował wojenne przeżycia. Fotokopie notatek generała znajdują się w Centralnej Bibliotece Wojskowej.

Wydał 13 książek. Jako senior Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie działa w wielu organizacjach. Jest wiceprezesem rady naczelnej i komisji historycznej ZBoWiD, członkiem prezydium Towarzystwa „Polonia", prezesem Towarzystwa Polsko-Belgijskiego. Jest członkiem Komitetu Wykonawczego PRON, no i oczywiście członkiem klubu I Pancernej. Spotykają się co miesiąc. Żołnierze, którzy przebyli tyle dróg.

Jak na kawalerzystę przystało, sylwetkę pan generał ma wysmukłą, trzyma się prosto.

ANNA GRZYBOWIECKA
Fot. **archiwum**

W drodze do Normandii, koniec lipca 1944 r.

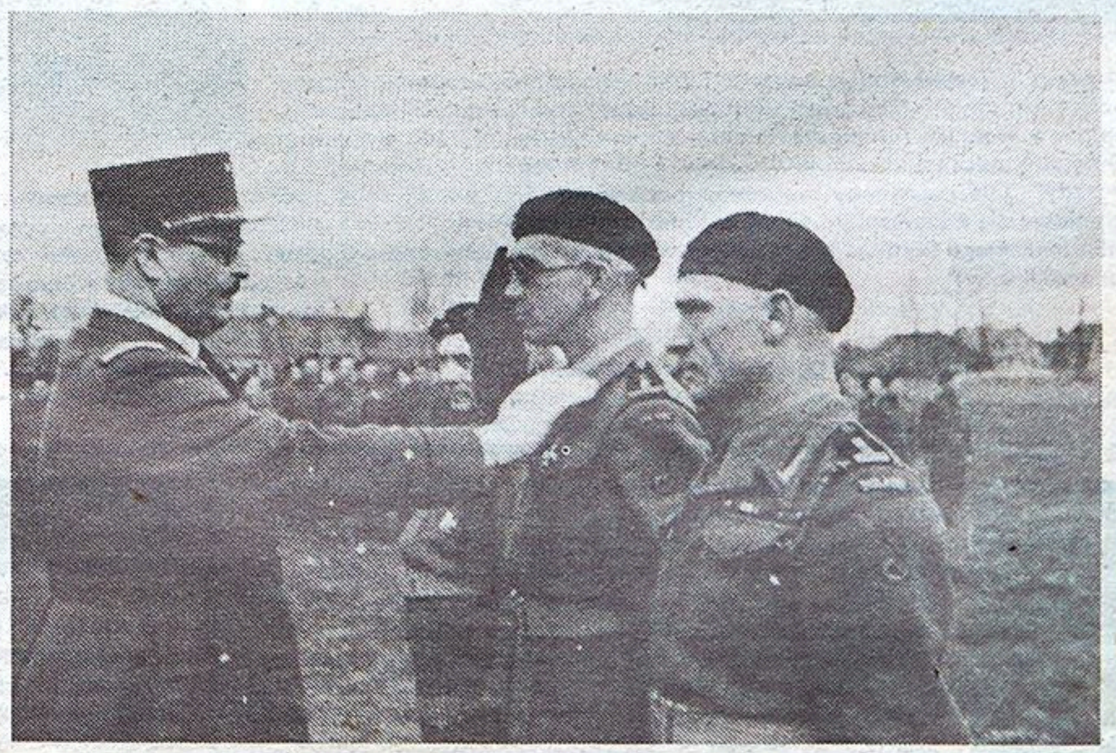

Gen. Cherrier dekoruje w Bredzie (Holandia) płk. Skibińskiego francuskim Orderem Legii Honorowej

VIII OGÓLNOPOLSKI MŁODZIEŻOWY PRZEGLĄD PIOSENKI WROCŁAW '84

ROZŚPIEWAĆ...

... To idea, która tradycyjnie już przyświecała organizatorom tej imprezy (ZSMP, przy współpracy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Oświaty i Wychowania, RSW „Prasa-Książka-Ruch", Komitetu ds. Radia i Telewizji, Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego i Gospodarzy miasta Wrocławia). Przegląd odbył się w dn. 9–15 IV już po raz ósmy, a trzeci we Wrocławiu (lata 77–81 Toruń). Po ostrych eliminacjach przyjechali do Wrocławia najlepsi spośród młodzieży amatorsko zajmującej się muzyką. Ci, którzy sami pracują nad własnym warsztatem muzycznym, i ci, którzy robią to pod okiem instruktorów rozmaitych placówek kulturalnych. Wszyscy oni swym poziomem wyrastają ponad przeciętność... Być może są nawet pośród nich tacy, z których wyrośnie nasza czołówka estradowa, być może... nie. To nie jest takie ważne. Wrocławskie OMPP – przypominam – jest z założenia – przede wszystkim metodą na sprawdzenie stanu posiadania amatorskiej estrady. Sondażem, pretekstem do pośpiewania i posłuchania jak śpiewają inni – przede wszystkim – a dopiero przy tej okazji szansą, by zorientować się kim warto się zająć, jak zadbać o jego dalszy rozwój artystyczny, kogo zaprosić na warsztaty muzyczne czy ułatwić promocję poprzez nagrania radiowe, płytowe, teledyski itp. I tak też było.

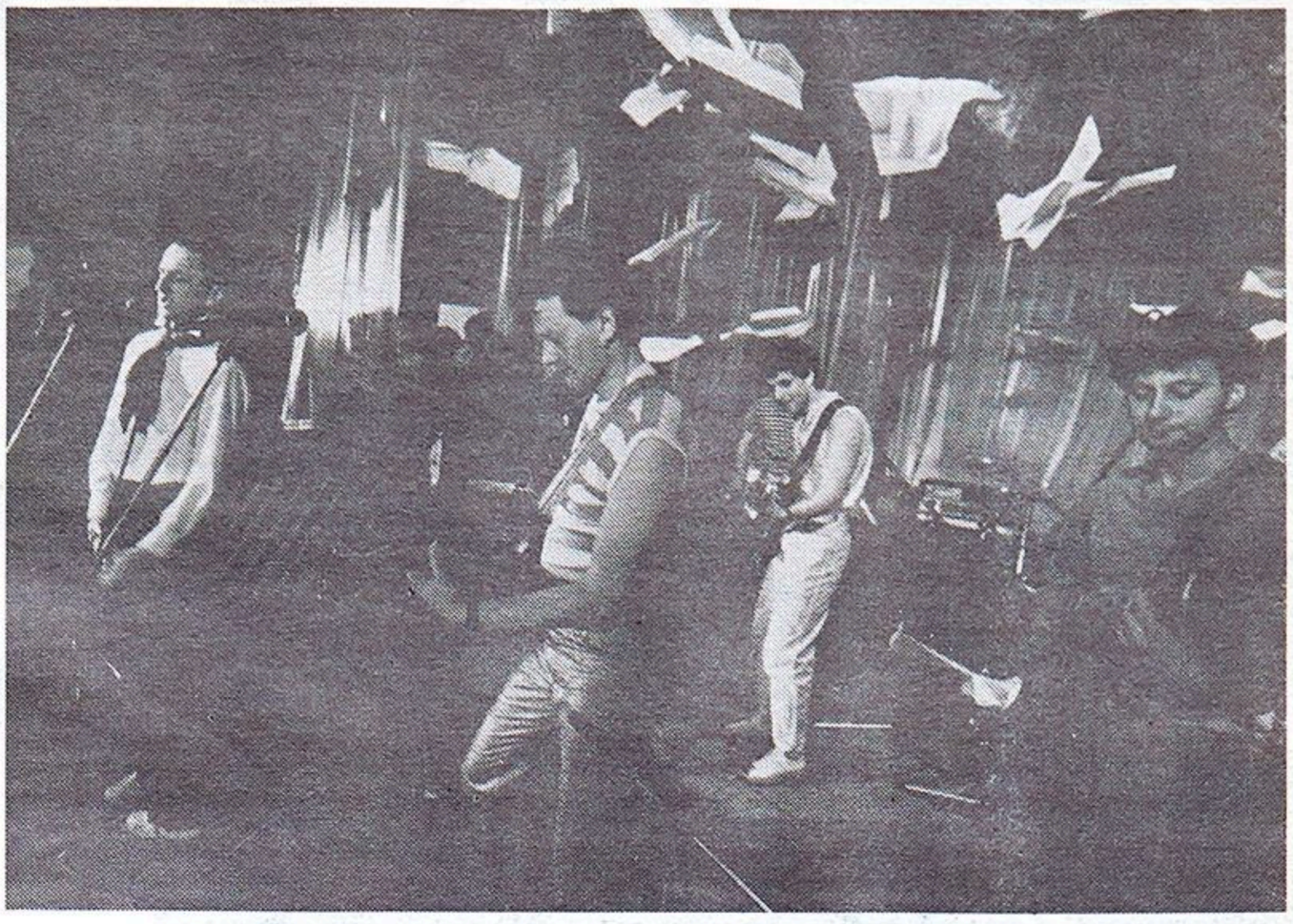

„L-4" – Skład: Jerzy Pajda – wokalista, Jan Sławek – gitara, Krzysztof Czarnecki – gitara, Tadeusz Puton – gitara basowa, Zbigniew Miarka – instrumenty klawiszowe i Waldemar Pękala – gitara basowa. Grają wspólnie od półtora roku. Najchętniej rocka i pop-music. Inspiracje do tekstów (własnych!) czerpią z życia. Brali udział w przeglądzie „Rock nad Wartą" i zajęli pierwsze miejsce. Najbliżeze plany: nagranie teledysku.

Najważniejszą nagrodą dla uczestników Przeglądu jest znalezienie się w Złotej Dziesiątce. Tym razem okazała się ona... jedenastką. Znakomite jedenastoosobowe (!) jury pod przewodnictwem Jana Chaładaja nie miało łatwego zadania, bo – jak to zresztą zostało zaznaczone w protokole końcowym – „poziom artystyczny finału VIII OMPP był wyrównany a kwalifikacja wstępna została przeprowadzona szczególnie starannie". Najlepszymi z najlepszych okazali się: **Piotr Bukartyk** z Gorzowa, **„Izba S."** z Siedlec, **Zbigniew Kaczmarczyk** z Nowego Sącza, **Violetta Kozłowska** z Poznania, **„L-4"** z Dąbrowy Górniczej, **„Mały Atlas Ludzi"** z Łodzi, **„Mr Z'OOB"** z Poznania, **„Mobilizacja"** z Bełchatowa, **„Nijak"** z Łodzi, **Małgorzata Panecka** z Lublina i **„Raport"** z Dzierżoniowa.

Werdykt ten został przyjęty bez protestów, choć członkowie jury nie ukrywali, że kilka jeszcze grup i solistów otarło się dosłownie o tę listę. Pewno dlatego, że były tak jednomyślne jeszcze i inne wyróżnienia. Między innymi – nagroda dziennikarzy przypadła zespołowi „Wesoły Początek Radości", kilku wykonawców zostało zaproszonych na nagrania studyjne przez Program III Polskiego Radia a nagrodę ekipy technicznej dla najlepiej brzmiącego zespołu otrzymał „Fort BS". Niewykluczone też, że Złota Jedenastka weźmie udział w tegorocznym „Koncercie Debiutów" na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu.

Jeśli mowa o nie tyle wartościowych, co raczej atrakcyjnych nagrodach – to wszystkich, i publiczność i wykonawców ogromnie ucieszył fakt błyskawicznego nagrania na kasetę najlepszych utworów Złotej Jedenastki i możliwość kupienia jej w czasie finałowego koncertu w Teatrze Polskim.

PODOBALI SIĘ NAM NAJBARDZIEJ

„Mr Z'OOB". Zespół istnieje od lipca 1983 r. Założyli go Waldemar Miszczor i Jacek Paprocki. W skład grupy wchodzą także: Andrzej Donarski, Waldemar Lech, Piotr Woźniak i Grzegorz Rewers. Ich siedzibą jest Stołeczne Centrum Kultury Artystycznej „Nurt" w Poznaniu. W lutym tego roku uznano ich za „gwiazdy" gnieźnieńskiego maratonu rockowego. Mają już za sobą sesję nagraniową dla Rozgłośni Poznańskiej Polskiego Radia. Plany – udział w finałach Studenckiego Festiwalu Piosenki, Kraków 84 i nagranie teledysku w gdańskim ośrodku TVP

Małgorzata Panecka – po raz pierwszy na festiwalopodobnej imprezie. Fachowcy twierdzą, że „jest w niej coś przykuwającego uwagę" i że chyba „ma przed sobą przyszłość". W ubiegłym roku Małgorzata rozpoczęła studia na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Śpiewa rocka, na co dzień z zespołem. Niestety, jej przyjaciołom nie udało się przejść przez eliminacyjne sito i przyjechała do Wrocławia sama. Towarzyszyła jej w występach kapela „Wrocław-Band"

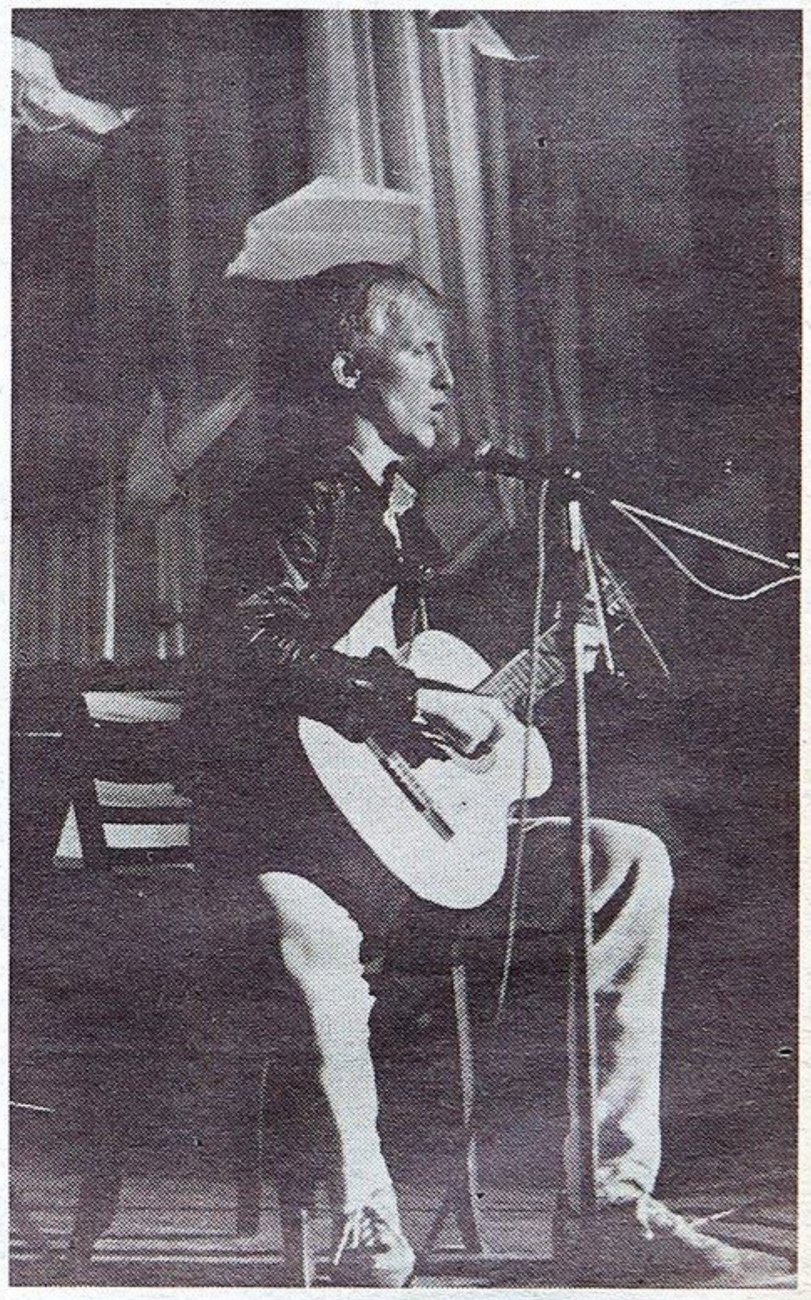

Piotr Bukartyk – zaczął śpiewać z gitarą jako szesnastolatek, zaledwie cztery lata temu. Szkołą publicznych występów były dla niego studenckie przeglądy piosenek. Na przełomie 82/3 roku zajął drugie miejsce na olsztyńskich spotkaniach muzycznych „Śpiewajmy poezję". Potem zajął pierwsze miejsce na przeglądzie w Myśliborzu. W czasie ubiegłych wakacji wziął udział w warsztatach muzycznych w Lublińcu. Śpiewa własną poezję, do której komponuje muzykę. Jego utwory są ekspresyjne i agresywne.

Fot. **R. Królak, W. Faściszewski**

DZIŚ I JUTRO NIE TYLKO ROCK

Wiele osób uważa, że nastał czas, w którym młode pokolenie właśnie poprzez rock – atakujący, spontaniczny, gwałtowny i autentyczny, wykrzykuje swój światopogląd. Ale jak udowadniają nam od ośmiu już lat OMPP – nie tylko. Zafascynowani rockiem spotkali się tu na jednej estradzie z wykonawcami bluesa, country, piosenek autorskich, aktorskich, z poezją śpiewaną i z formami kabaretowymi. OMPP – to koktajl wielu stylów. Jurorzy wyławiają z niego najciekawszych wykonawców, bez względu na rodzaj uprawianej przez nich muzyki. W tym roku choćby, aż trójka z prezentujących się na kameralnych, świetnie wyreżyserowanych wieczorach klubowych, które odbyły się w ramach OMPP – znalazła się wśród laureatów („Nijak", „Mały Atlas Ludzi" i Zbigniew Kaczmarczyk). Ta decyzja jury nikogo nie rozczarowała.

Więc rzeczywiście – nie tylko rock!

TAK TRZYMAĆ...

O tyle trudno mi porównywać tegoroczne OMPP we Wrocławiu z poprzednimi, że nie miałam niestety okazji, ich oglądać. Stali bywalcy imprezy twierdzą jednak, że ma coraz wyższy poziom. Żaden z wykonawców indywidualnych ani żaden z zespołów, co prawda, „nie rzucił na kolana" publiczności, ale za to wszyscy, również ci, którzy nie znaleźli się wśród wyróżnionych, podobali się. Nie było grafomanii, choć przecież autorami tekstów nie byli zawodowcy, nie było też zespołów marnie imitujących swoich muzycznych idoli. Jednym słowem nie było „amatorszczyzny", a właśnie „amatorstwo". Może tylko tzw. ruch sceniczny wielu wykonawców pozostawiał sporo do życzenia, ale to przecież kwestia estradowego obycia, no i warsztatów, na które łatwo stąd trafić. Równie pozytywnie trzeba ocenić organizacyjną stronę przeglądu.

Niewątpliwie zdała egzamin koncepcja organizacji występów. Zestawianie głośnego rocka z kameralnymi utworami pozwalało publiczności na oddech. Poza tym sami uczestnicy zadbali o to, by nie było monotonnie – dobierając dwie wymagane regulaminem piosenki tak, by zaprezentować jak najwszechstronniej swoje możliwości. Nastrój Klubowych Wieczorów w Piwnicy Świdnickiej, udane dyskoteki, interesujące pokazy filmów-wideo też długo pozostaną w pamięci. Długo, to znaczy do następnego roku, do IX Przeglądu, któremu życzymy, by dalej „tak trzymał". Z pewnością przybędą przecież nowi amatorzy piosenki.

NA WYSPIE CAPRI

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

Przechodząc z sali do sali, ciągle pod górę, dostajemy się wreszcie na najwyższą kondygnację. Tu, na szczycie maleńka kapliczka (chyba z późnego średniowiecza?), a obok te słynne, wielokrotnie opisywane tarasy! Cały pałac otoczony był kiedyś od strony morza wykutymi w skałach, obszernymi platformami. Widok stąd wprost niezapomniany!

Poszarpane białe skały opadają (ponad trzysta metrów!) pionowo w dół, w przepaść, na dnie której morskie fale pienią się przy brzegach. Kamienne ławeczki zachęcają do odpoczynku. I znowu czar przeszłości zaczyna działać:

,,... *W niebieskawym świetle późnego popołudnia wyspa Capri wygląda jak kopiec stwardniałej, szaro-zielonej piany na jaśniejącej powierzchni morza. Bieleje na nim pałac Jowisza niby płatek śniegu. Kiedy zachód nasiąknie purpurą, Capri wygląda jak najeżone zwierzę, a pałac jak kropla krwi na jego sierści... Z górnego tarasu dobiegają dźwięki lutni i młody głos skanduje greckie wiersze. Lutniście drży ręka, ponieważ robi coś, czego mu robić nie wolno: szczeliną przymkniętego oka obserwuje twarz cesarza. Tyberiusz siedzi na marmurowym fotelu, otulony w wełniany płaszcz. Gałąź cyprysu rzuca cień na twarz starca: twarz jest proporcjonalna, pod wysokim czołem i zrośniętymi brwiami płoną urzekające oczy; cienki, energiczny nos, stanowcze usta, drobna broda, a pod nią szeroko sklepiona klatka piersiowa. W ogrodach pałacowych cichym śpiewem tryskają fontanny. Głosy wody, słodkiej i słonej odpowiadają sobie nawzajem. Marmurowa nimfa rozczesuje swe włosy, a satyry z brązu tańczą wokół niej. Alejami cyprysów przechadzają się kamienni bogowie, zaniepokojeni korzenną wonią unoszącą się z ogrodów..." (J. Toman: ,,Po nas choćby potop").*

To wszystko działo się właśnie tutaj. Może nawet dosłownie w tym miejscu, gdzie teraz siedzimy ... Dziś nie ma już białych posągów ani gajów cyprysowych, nie grają cytry w rękach niewolników Nie istnieje wspaniały wykładany marmurem pałac. Zostały tylko ruiny, potłuczone kolumny, kamienne tarasy. Minęło dwa tysiące lat!

Tylko morze jest takie same. I skały opadające w przepaść tak głęboką, że gdy pochylamy się nad kamienną balustradą nie słychać szumu fal, rozbijających się w dole o brzegi. Stąd podobno Tyberiusz strącać kazał skazanych na śmierć senatorów i urzędników, gdy wracali z przesłuchania. Umarł otoczony powszechną nienawiścią. A po latach pałac jego rozsypał się w gruzy....

Wracamy milcząc, kamienistymi ścieżkami...

Gdy znów jesteśmy w miasteczku, jest już późne popołudnie. Tłumy turystów nadal krążą po ulicach. Na jednej z wystaw sklepowych obracają się w kółko białe, porcelanowe laleczki. A pozytywka na małych dzwoneczkach cichutko gra melodię: ,,Pamietasz Capri, tę wyspę kochanków ...

ANDRZEJ DONIMIRSKI

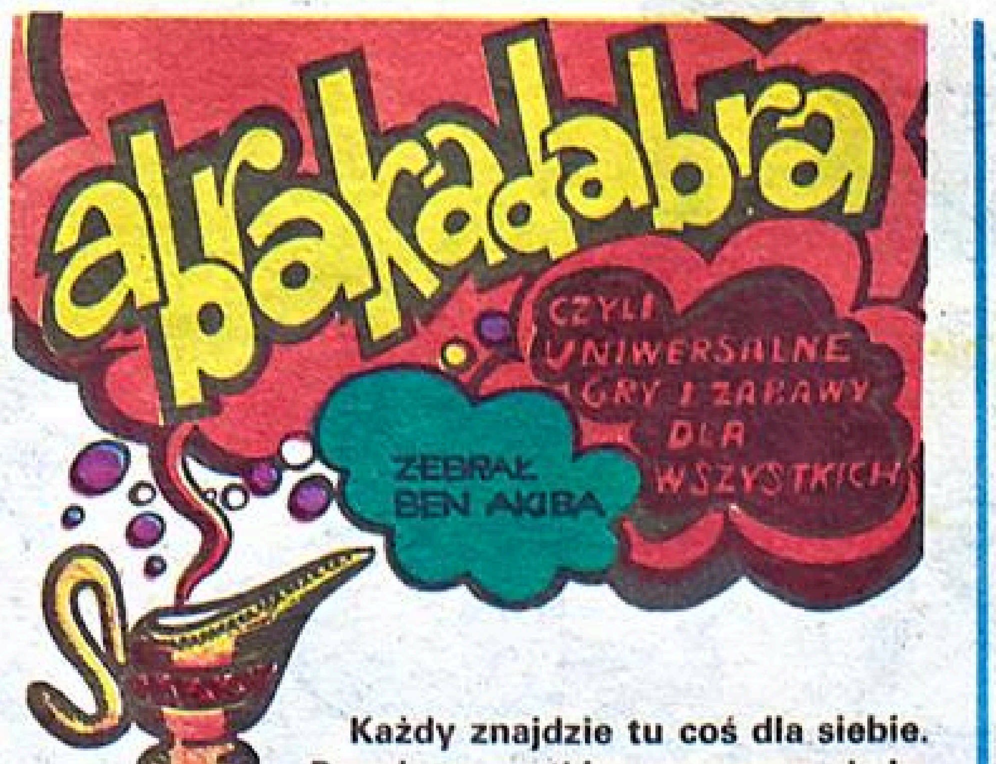

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Przede wszystkim zapraszam do łamigłówki, w której trzeba dopasować do siebie dwie skomplikowane części. A dla odpoczynku zapraszam do labiryntu z „Wilhelmem Tellem". Za tydzień spotkamy się znów w tym samym miejscu. Do zobaczenia!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

MIEJ WYOBRAŹNIĘ

W prostokącie w lewym górnym rogu rysunku znajduje się kształtka, której części wypukłe dokładnie pasują do wgłębień jednej z kształtek oznaczonych literami od A do E. Miej wyobraźnię i dopasuj w myśli obie kształtki. Rozwiązanie znajdziesz w Abrakadabrze za tydzień.

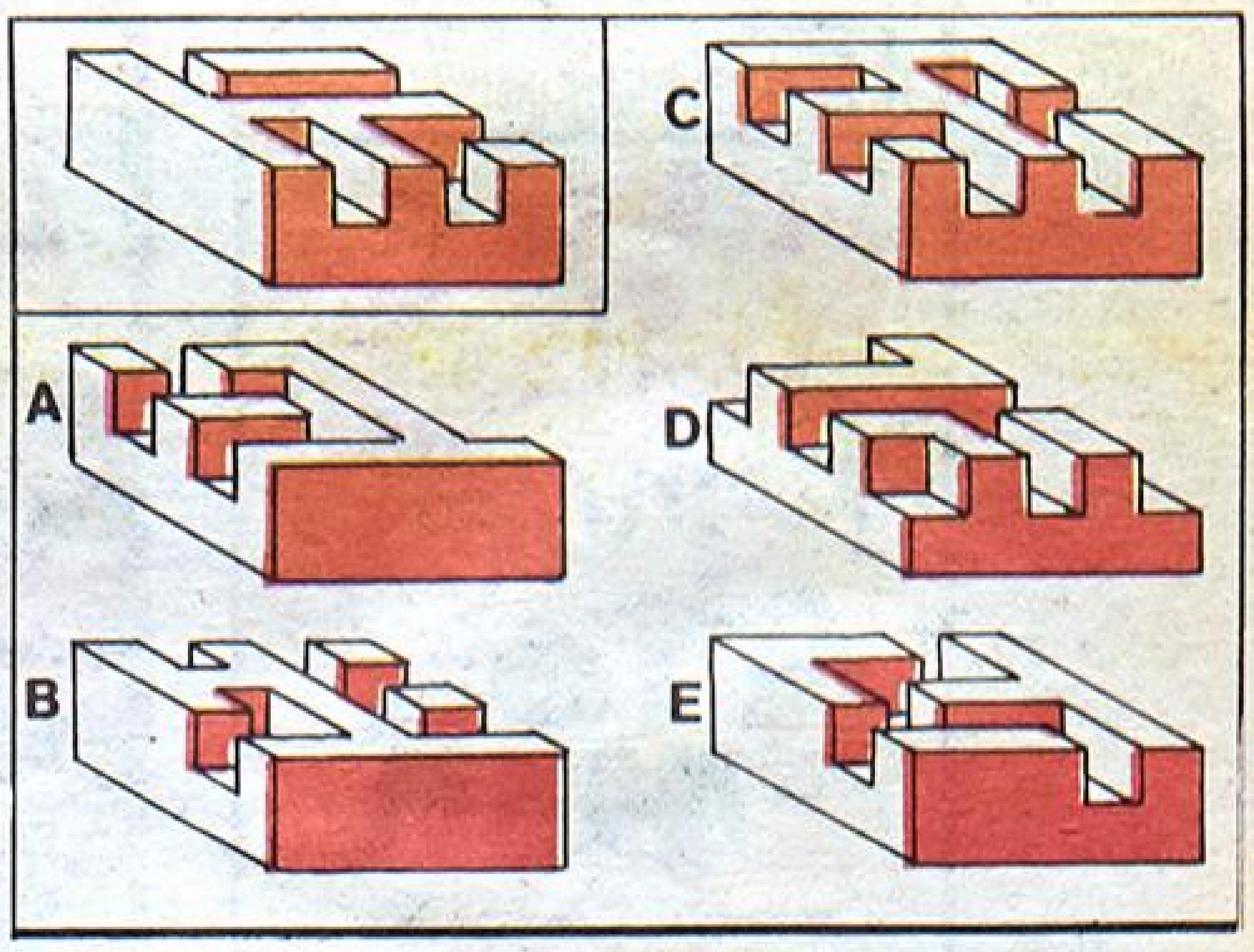

51 PUNKTÓW

Jeśli starannie i ostrożnie połączysz liniami prostymi kolejne punkty oznaczone numerami od 1 do 51 – otrzymasz obrazek. Możesz to zrobić tylko wtedy, gdy rozwiążesz łamigłówkę „Miej wyobraźnię!", bo jest to właśnie nagroda za sprawne myślenie...

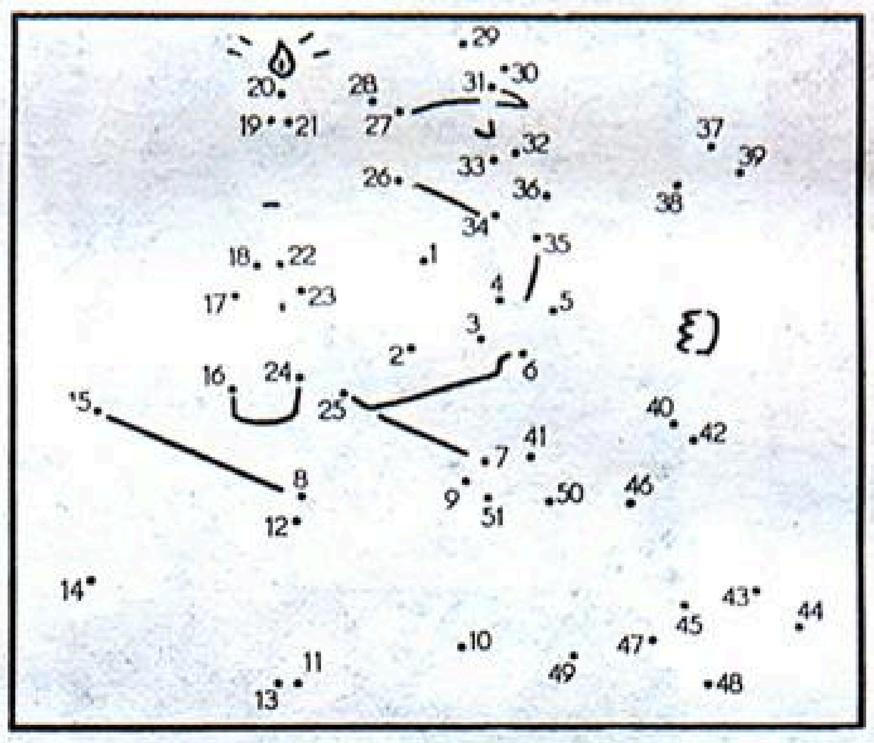

STRZEL W LABIRYNT

Strzelić w labirynt nie jest trudno, bo miejsce rozpoczęcia lotu strzały wskazuje ona sama. Dopiero po drodze jej tory lotu rozgałęziają się do tego stopnia, że tworzą kilka fałszywych dróg. Ty masz wybrać tę jedyną – właściwą, zakończoną czarnym grotem, by trafić w jabłko na głowie tego dziwnego „Wilhelma Tella". Próbuj!

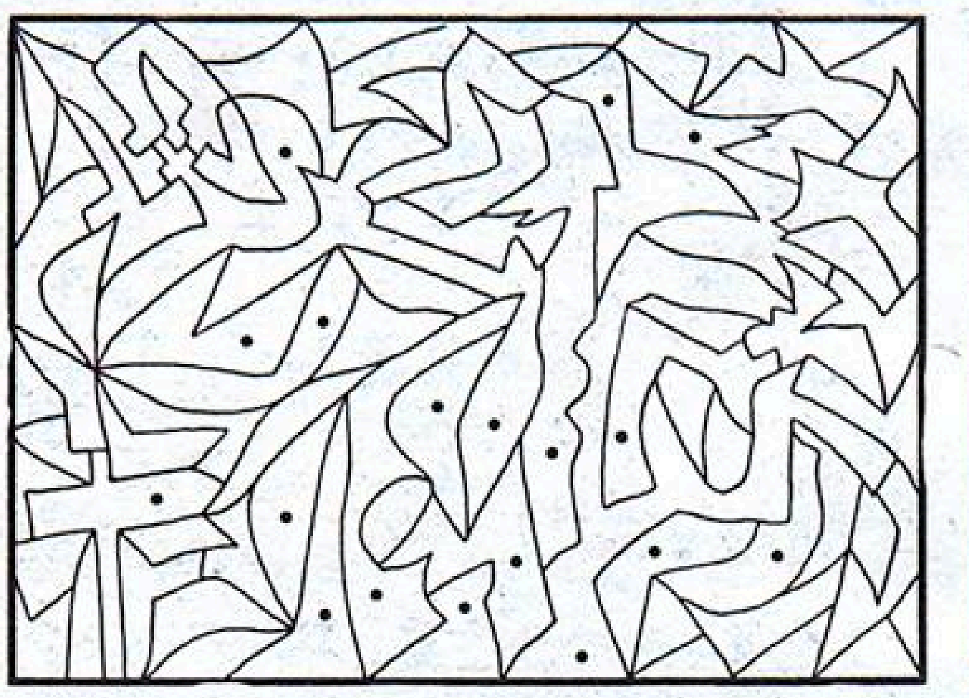

TEATR CIENI ABRAKADABRY

Popatrz na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem w jedną całość te wszystkie jego fragmenty, które oznaczono kropkami. Czy układają Ci się już w jakiś obraz – wizję? Teraz weź mazak lub długopis i starannie zamaluj te obszary z kropkami. Rozwiązanie otrzymasz natychmiast, bo na tym polega nasz teatr cieni.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY

$$\begin{array}{rcl} 593+168 & = & 761 \\ - \quad\;\; : & & - \\ 27\times \quad 8 & = & 216 \\ \hline 566- \;\; 21 & = & 545 \end{array}$$

TAJEMNICZE DZIAŁANIA: rozwiązanie powyżej. ZADANIE-BŁYSKAWICA: 10 samochodów i 30 motocykli. UPORZĄDKUJ: właściwa kolejność to B, A, D, C. Na B brak lewej brwi u gitarzysty, ,,strażaka" na kominie, fałdy na spodniach mężczyzny w swetrze z krzyżykami. Na A dorysowano już brew gitarzysty; na D dorysowano również fałd na spodniach; C jest kompletny, ma nawet ,,strażaka" na kominie.

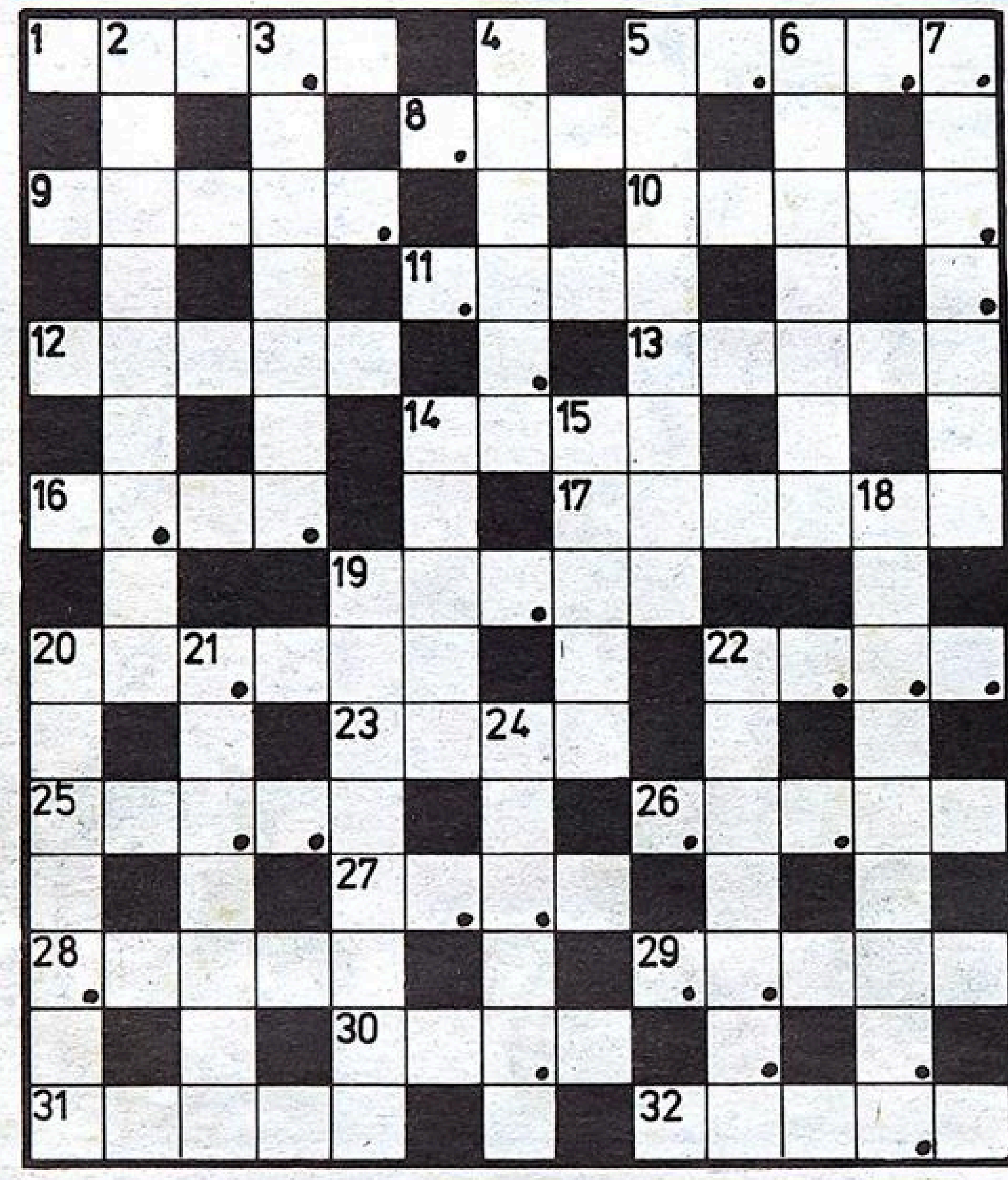

ZADANIE PREMIOWANE NR 473

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z oznaczonych kratek, czytane kolejno rzędami poziomymi, utworzą rozwiązanie – przysłowie arabskie. Prześlij je w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 473".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) podziałka, 5) karta przy towarze, zawierająca informacje o nim, 8) skaleczenie, 9) plama z atramentu, 10) szlak komunikacyjny, 11) przeciwieństwo zalety, 12) gromada psów myśliwskich, 13) gaz używany do dezynfekcji wody, 14) pisarz amerykański, autor powieści „Drogi do wolności", 16) ... z Zielonego Wzgórza, 17) autor dzieła sztuki lub literatury, 19) rzeka w Ameryce Płd., lewy dopływ Amazonki, 20) stan w USA, 22) jedna z prac rolniczych, 23) czepia się psiego ogona, 25) „głośna" małpa, 26) pies myśliwski, 27) przed nazwiskiem, 28) z abażurem, 29) trzeba nimi poprzeć słowa, 30) masakra, 31) samica konia, 32) wskazujący lub kciuk.

PIONOWO: 2) używana do nacierania włosia smyczków, 3) leczy pacjentów, 4) państwo w Ameryce Środk., 5) krętactwo, 6) statek rybacki, 7) tętnica, 14) lampa błyskowa, 15) pułap, 18) drzewa owocowe, 19) szusuje po stoku, 20) ptak leśny, 21) osoba odnajmująca, np. lokal, 22) linia prosta przecinająca krzywą lub figurę geometryczną w dwu lub więcej punktach, 24) przydomek nadany komuś.

W siadzie ciężkie spuszczenie nóg na stopień niżej. Siad. Ciężkie spuszczenie nóg na stopień... Siad. Ciężkie spuszczenie nóg na stopień niżej... Siad. Ciężkie spuszczenie nóg...

Wreszcie koniec. Brawo, Aniu!

– Brawo, Aniu! Zuch jesteś. Doskonale.

– Brawo, Aniu – oklaskują zwycięstwo radośnie małe, spocone i brudne (już brudne) ręce.

Gładzę sterczący kosmyk. Zuch!

To dziecko pokonało samo niebotyczną wysokość piętra w drodze do mnie, do cukierków i piłki. Do zabawy i pochwały. Do tego „brawo, Aniu, zuch z ciebie!" Ośliniona już za chwilę piłka pada na ziemię. Nie potrafi nigdy dotrzec do celu jakim są moje o metr tylko oddalone ręce. Niezdarny skłon i piłka podniesiona z niejakim trudem opiera się o buzię. To nic, głupstwo. Hop! – i pada ciężko obok nóg. Gramy w piłkę. Za dziesiątym razem podnoszę ją sama. Ania jest zmęczona.

– Chcesz spać, Aniu?

– Nie. Zabawa.

– A w co będziemy teraz się bawić?

– Śpiewaj! – pada chrapliwy rozkaz.

– Razem będziemy śpiewały, dobrze?

– Śpiewały – godzi się Ania.

Stuku, puku, stuku, puku,
na ulicy kładą szyny...

– i poważne, pełne obok:

Puku puku puku uku
naaoo uee uuhu hu eeee uu hihe...hi.... eeeee...

Śpiewamy sobie piosenkę do końca. Ania lubi piosenki.

Nie brzydzę się Ani, co ty mówisz, Katarzyno! Ty też grałabyś z nią w piłkę. Naprawdę. Nie mogę nie wziąć jej za rękę, kiedy ją do mnie wyciąga. Nie mogę, zrozum.

Ania potrafi robić mnóstwo rzeczy. Chodzi, rozmawia, śpiewa, liczy do trzech, jeden trzy, jeden, dwa, wie, że nazywa się Ania Zając. Sama je, otwiera sobie drzwi, o ile nie są zamknięte na zasuwkę, nieraz pomyśli, popatrzy i sprawdzi, czy wytarła buty o słomiankę. Woła, gdy chce do ubikacji, czasem próbuje załatwić się bez pomocy. To nic, że na środku drogi... W mieszkaniu tak nie zrobi. Potrafi też bronić się przed bólem. Zasypia natychmiast, gdy zobaczy lekarza lub pielęgniarkę ze strzykawką w ręku. Tyle rzeczy umie robić Ania. Jest człowiekiem. Myśli.

Justka, siostra Ani, jest w piątej klasie, Julka, zwana Bobrem, w szóstej. Na świadectwach – bdb, bdb, bdb. Jędrek już trzeci rok uczy się w słynnej alterówce, w Liceum w Międzywodziu, nieznany mi Tomasz zawędrował na łódzką politechnikę. Widzisz, Ka, oni i Ania. To niesprawiedliwe. Stary Zając też tak myśli, pije i milczy, matka milczy inaczej – kocha Anię. Justka i Julka prowadzą ją ze sobą „na przyczepkę". Tak trzeba – mówią i nie wiedzą, czy kochają Anię, czy nie. Chyba tak, siostra przecież, najmłodsza.

Czy Jadźka od wściekłej krowy kocha Małą? Mała jest mądrzejsza od Ani, wygląda normalnie (prawie normalnie). Jadźka znosi ją jak dopust boży i karę za swoje ciężkie dziesięcioletnie grzechy, grzmoci Małą po karku, ciąga za uszy i niechby kto inny próbował zrobić to samo! Nawet matce nie wolno. Zawsze zdąży nadstawić swoje plecy.

Wszyscy się kochają jak w „Panu Tadeuszu". Nawet lepiej i pełniej, bo w czasie dokonanym i teraźniejszym, kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje...

Nie kocham nikogo.
Nie tęsknię za nikim.
Szanuję małe i milczące smutki.
Nie chcę o nic prosić ciotki.
Nie dbam o to jak trzeba i wypada.
Żartuję z dziećmi i z siebie.

Lubię cię, Katarzyno, i chciałabym móc z czasem nie myśleć o tym, co było jeszcze tak niedawno. Brakuje mi rozmów z tobą. Szkoda, że nie umiem pisać listów, które chciałabyś czytać z przyjemnością. Dzięki za to, że zwracasz mi uwagę na wszystkie niedoskonałości mojego stylu. (Eufemizm, Katarzyno, to nie potknięcia, to koszmar). Staram się jak mogę. A kiedy się staram, piszę jeszcze gorzej. Tobie gratuluję sukcesów u Pacynki. Nienawidzę, nie cierpię zdań z otoczką glansowanego papieru posypanego „złotkiem" z potłuczonych bombek choinkowych. Bój rój łez bez wiosna radosna ściele trele kłos wrzos echa strzecha ręka męka. Tak piszę, Katarzyno? A niech to szlag trafi! Już jestem na wieki pod ziemię „zapadnięta", amen.

Cdn.

2 H.J. CHMIELEWSKI

TYTUS Romek i A'TO-MEK

Kolorowała A.Dudek Nalewajska

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r. Nr 54 (3828)
Wychodzi: wtorki, czwartki, soboty
Nr indeksu 35056. PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15). TELEX 81–36–58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Szarlota Paweł
Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak
Korekta: Irena Ochrymowicz
Nakład 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1528/G. T-24

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– **PANIE DOKTORZE, co pan robi, kiedy pan ma grypę?**
– **Kaszlę, kicham i pociągam nosem...**

★

PANI PYTA uczniów w klasie, co chcieliby robić w przyszłości. Wszyscy wymieniają ciekawe zawody, tylko Wojtek rozmyśla długo i wreszcie mówi:
– **Chciałbym być żyrafą!**
– **Żyrafą? Ale dlaczego, Wojtusiu?**
– **Żeby mnie tata nie mógł ciągnąć za uszy!**

Potem figurki spadły z wysoka na kamienną posadzkę, pękły brzydko i niepotrzebnie, leżały w kącie jakiś czas kalekie i smutne, komuś zrobiło się żal, próbował je kleić, ale to już nie było to. Błękitna pasterka została w rogu dolnej szuflady starej komody za wyszczerbioną filiżanką i tłuczkiem bez moździerza, rumiany kominiarczyk z doklejoną nogą wrócił na etażerkę podparty z przodu szeroką krynoliną skośnookiej tancerki z rewiowego teatru. Tancerka zastygła w półukłonie, kominiarczyk próbował podbić serca wszystkich figurek, tańczył nocą kulawego menueta z zieloną krynoliną i mówił brzydko o słońcu, w którym wyraźnie szarzał popiołem kurz na błyszczących guzikach jego odświętnego stroju.

Dobry z minusem. Pracuj nad stylem. Koniec. Ostatni zeszyt (prace klasowe samodzielne) powędrował z lewej strony na prawą, na stertę sprawdzonych. Jeszcze dopisek „obłóż zeszyt" i można wstać. I otworzyć drzwi zabłąkanemu gościowi, który skrobie w nie zdecydowanie, choć niemrawo.

Ania ma osiem lat i dwa lata. Osiem ma jej ciało, dwa mózg. Duża głowa porośnięta rzadkimi kosmykami kiwa się w nagłych podrzutach ramion. Tak Ania mówi dzień dobry. Kosmyk na czubku sterczy, podnoszony w wiecznej rozterce, okręcany wokół palca w zagubieniu i rozbracie ze światem. Niezależny i sztywny, żałosny. Zaropiałe szkliste oczy, spierzchnięte wargi mongołki. Krótkie palce, zrośnięte zda się niewidoczną błoną, wycelowują w ciebie.

– A co robisz? – gruba kluska porowatego języka nie mieści się w ustach, ocieka śliną. – Co robisz? Mieszkasz tu?

– Tak – odpowiadam niezmiennie. – I czekam na ciebie.

– Czekasz? A co robisz? Co tam masz?

Lubię Anię. I ona mnie lubi. Przychodzi często, zawsze niespodziewanie, o różnych porach dnia. Gramy sobie w piłkę lub rozmawiamy.

– Masz cukierki? – pyta.

– Mam – wyciągam karmelek w kolorowym papierku. Papierek jest ważny. Prawie tak samo jak zawartość. Pomagam rozwijać, ale Ani palce uciekają przed moimi. Boją się, że stracą zdobycz, słodkość i jedzenie. Szarpią oporny szelest, zmagają się z jego papierową moca.

– Aniu, tutaj też jest cukierek. Lepszy. Większy. Masz. – Kuszę różową odwiniętą już kulką.

– Daj! – rzuca niepotrzebną w takim układzie, nie pokonaną, brzydką rzecz. – Daj!

Bezgraniczny zachwyt i szczęście, słodycz i lepka, największa rozkosz.

– Daj jeszcze. Dobre. Ania lubi cukierki.

– A co jeszcze lubisz?

– Cukierki.

– Piłkę też?

– Cukierki.

Piłka musi poczekać.

– Nie ma więcej – pokazuję pustą miseczkę. – Tu były, nie ma, zjadłaś? Nie ma? A gdzie piłka?

Nadszedł czas piłki. Przedtem idziemy do łazienki myć ręce i buzię. Jedynym sposobem, aby ustrzec drzwi i ściany od zetknięcia z lepką, brudną miazgą przylepioną do palców Ani, jest zabawa w konia. Wio! Trzymamy się mocno za ręce i bokiem, skokiem niezdarnym, szuraniem i ślizganiem dobijamy do wody. Ręce, buzia, fartuszek. I nos. I raz jeszcze.

– Piłka!

– Jest piłka. Zejdziemy teraz ze schodów. Uważaj, Aniu.

– Uważaj. Daj rękę.

Skupienie i strach. Determinacja i odwaga. Kurczowy chwyt mojej dłoni. Druga ręka na żelaznych prętach poręczy. Opad do siadu.

Dokończenie na str. 7